



Barbara Hannay



Długa podróż

Tytuł oryginału: Expecting Miracle Twins

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Uśmiechając się szeroko, Mattie skręciła na podjazd. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście: ma zamieszkać w tym uroczym niewysokim budynku o bielonych ścianach, niebieskich drzwiach i słonecznych balkonach z widokiem na zatokę. Mieszkanie numer trzy znajdowało się na parterze, czyli w przyszłości, kiedy będzie w ciąży, odpadnie jej wspinanie się po schodach, a Brutus będzie mógł hasać po ogródku.

Przy wycieracze stała donica z różowym geranium. Mattie westchnęła błogo. Tak, będzie jej tu dobrze. Rankami będzie siadywać z laptopem na dworze i w przerwach w pracy patrzeć na połyskującą tafłę wody, a popołudniami zabierać Brutusa na długie spacerunki.

Zamierzała tu spędzić rok. Wszystko miała przemyślane, rozmawiała z lekarzami, wiedziała, że podjęła słuszną decyzję. Jeżeli sprawy potoczą się zgodnie z planem, wkrótce podda się implantacji i pod koniec roku urodzi swoim przyjaciółom upragnione dziecko.

Nucąc pod nosem, wygrzebała z torebki klucz, wyjęła z koszyka Brutusa, otworzyła drzwi samochodu i nagle... łum–bum–bum! Niczym wystrzał z karabinu spod trójki huknęła muzyka. Uśmiech na twarzy Mattie zgasł. Na wszelki wypadek sprawdziła numer na zawieszce przy kluczu, ale nie, nie pomyliła się.

– Możesz mieszkać, jak długo chcesz – zapewniła ją po raz setny Gina, kiedy rano wręczała jej klucze.

Mieszkanie należało do brata Giny, Willa, który pracował na terenie kopalni w Mongolii. Mattie jednak nie spodziewała się zastać w mieszkaniu

innego lokatora, w dodatku miłośnika heavy metalu. Ściskając pod pachą Brutusa, przez moment wpatrywała się bezradnie w drzwi.

Zamierzała się poddać, wsiąść z powrotem do samochodu, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Dlaczego ma rezygnować? Wszystko było ustalone. Gina z Tomem, bezgranicznie wdzięczni jej za pomoc, omówili sprawę z Willem.

Zebrawszy się na odwagę, ruszyła ścieżką do drzwi. Zapukała. Potem po raz drugi. I trzeci. Wreszcie zaczęła walić pięścią.

Muzyka ucichła. Mattie cofnęła się o krok.

W drzwiach stanął wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Wyglądał jak pirat. Miał ciemne potargane włosy, ciemny zarost na policzkach i rozpiętą koszulę odsłaniającą opalony tors. Mattie usiłowała oderwać od niego wzrok, ale było to trudne.

Mężczyzna oparł się o framugę patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek. Sprawiał wrażenie znudzonego, a zarazem zirytowanego.

– Słucham?

Na dźwięk jego głosu Mattie przestała myśleć o piratach. Na moment w ogóle przestała myśleć. Ten głos zaparł jej dech w piersiach. Z wysiłkiem przeniosła spojrzenie z torsu na twarz mężczyzny.

– Chyba... zaszła jakaś pomyłka – wydukała. Mężczyzna uniósł powoli brwi.

– Pomyłka?

– Tak. – Mattie pomachała kluczem. – To moje mieszkanie. Miałam się dziś wprowadzić.

Mężczyzna popatrzył na nią, na Brutusa, którego trzymała pod pachą, i na stojące przed domem auto pełne rzeczy, następnie obejrzał się za siebie. W

głębi mieszkania Mattie zobaczyła długonogą blondynkę, która z kieliszkiem wina siedziała na kanapie.

– Kochanie, czego ona chce? – zapytała blondynka.

Nie zwracając na nią uwagi, mężczyzna zmrużył oczy.

– Dostała pani klucz z agencji nieruchomości?

– Nie. Zawarłam umowę z właścicielem.

– Czyżby? Może zdradzi mi pani jego nazwisko?

– Jakim prawem pan mnie wypytuje? – zezłościła się Mattie. – Zapewniam, że mam zgodę właściciela. A pan?

Mężczyzna roześmiał się cicho. Wyczuwając zdenerwowanie swojej pani, Brutus polizał ją po ręce. W tej samej chwili blondynka na kanapie rozprostowała swoje długie nogi, odstawiła kieliszek i podeszła do drzwi.

– Co się dzieje, Jake? – spytała, obejmując mężczyznę za ramię.

– Drobny incydent graniczny – odparł Jake, z rozbawieniem obserwując Mattie.

– Co takiego?

– Incydent graniczny – powtórzył, nie spuszczając oczu z Mattie. – Wojenka.

Skierowawszy wzrok na blondynkę, Mattie zabrzączała kluczami.

– Musiało nastąpić jakieś nieporozumienie. Chcę się wprowadzić.

– Kiedy? – zapytała kobieta.

– Teraz. – Mattie wskazała numer na zawieszce. – Mam klucz. –

Ponownie zerknęła na Jake'a. – A pan ma klucz czy się pan włamał?

Jake skrzyżował ręce na piersi i milczał.

– Cholera jasna! Will Carruthers obiecał mi...

– Will Carruthers? Dlaczego pani od razu tak nie powiedziała?

– Zna pan Willa?

– To mój najlepszy kumpel. Pracujemy razem w Mongolii.

– Czyli... on wie, że pan tu mieszka?

– Jasne. Wziąłem dwutygodniowy urlop. Tydzień w Japonii i tydzień w Sydney. Will nalegał, żebym się zatrzymał u niego.

– Kiedy zaczął się ten tydzień w Sydney? – spytała Mattie, modląc się, by usłyszeć, że sześć dni temu.

– Przedwczoraj.

– Widocznie Will pomylił daty.

Niepocieszona spojrzała na Brutusa, który skomląc cichutko, znów polizał ją po rękę. Skoro Will jej i Jake'owi pozwolił skorzystać ze swojego mieszkania, a Jake pierwszy tu dotarł... Cóż, nie pozostaje jej nic innego, jak wynająć na kilka dni pokój w hotelu.

Zastanawiała się nerwowo, dokąd jechać. Nie знаła zbyt dobrze Sydney, a na drogi hotel nie było jej stać.

– Ma pani pecha – oznajmiła blondynka, opierając brodę na ramieniu mężczyzny.

– Gdzie pani poznała Willa? – zapytał Jake.

– Znamy się od dziecka – odparła Mattie. Chociaż w ostatnich latach rzadko Willa widywała, razem dorastali w Willowbank w Nowej Południowej Walii. –Jego siostra, Gina, jest moją najlepszą przyjaciółką. Wspólnie uzgodnili, że mogę tu zamieszkać.

Jake zmarszczył czoło, po czym wzruszył ramionami.

– W takim razie zapraszam. Zmieścimy się.

Jego przyjaciółka prychnęła niezadowolona. Mattie otworzyła usta, zamknęła je, znów otworzyła. Nie miała ochoty szukać nowego lokum, a Jake z blondynką wyniosą się za kilka dni.

– Jest pan pewien? Nie chciałabym przeszkadzać.

– Nie proponowałbym, gdybym nie był pewien. Zresztą i tak większość czasu spędzam poza domem. – Uśmiechnął się do swojej przyjaciółki. – Hej, Ange, jedźmy do miasta i pozwólmy... – Przeniósł wzrok na Mattie. – Jak się pani nazywa?

– Matilda Carey. Ale proszę do mnie mówić Mattie.

– Chętnie. – Uścisnął jej dłoń. – Jake Devlin.

– Miło mi.

– A tyś co za jeden? – Jake popatrzył na małego mieszańca teriera, którego tuliła do piersi.

– To Brutus. Jake roześmiał się.

– O tak, wygląda bardzo groźnie... Pomóc ci z wnoszeniem rzeczy?

Zaskoczyła ją uprzejmość Jake'a, a także wyraz złości na twarzy jego towarzyszek.

– Dziękuję, nie trzeba. Mam tylko kilka walizek i klatkę z kanarkiem.

– Z kanarkiem? – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

Zamierzała wyjaśnić, że odziedziczyła kanarka po babci, ale ponownie rozproszył ją widok wspaniale umięśnionej klatki piersiowej.

– Mieliliśmy wyjść, Jake – wtrąciła Ange. – To co, wezmę torebkę...

Mattie odprowadziła ich wzrokiem, po czym weszła do mieszkania. Okropna muzyka wciąż grała, choć już nieco ciszej. Mattie wyłączyła sprzęt, następnie minęła stół, na którym stały kieliszki oraz butelka z resztką wina, i udała się do kuchni. Zlew zawałony był brudnymi naczyniami.

Na końcu korytarza znajdowała się łazienka; na podłodze leżały mokre ręczniki oraz czarne koronkowe figi. Mattie, która nieraz wynajmowała do spółki mieszkanie, była przyzwyczajona do takich widoków; jej współlokatorki zwykle nie grzeszyły zamiłowaniem do porządku. Nie bardzo więc rozumiała, dlaczego akurat te majtki tak ją przygnębiły.

Pchnęła drzwi pierwszego pokoju; była to sypialnia z szerokim łóżkiem, oczywiście nieposłanym. Wymięte prześcieradło i pusta butelka szampana na stoliku nocnym wiele mówiły o tym, co się tu wczoraj działo.

Mattie wycofała się pośpiesznie i ruszyła na poszukiwanie drugiej sypialni. Po chwili ją znalazła; pokój był sporo mniejszy i okna nie wychodziły na zatokę, ale panował tu porządek. Skinęła z zadowoleniem głową. Gdyby sama dokonywała wyboru, pewnie zajęłaby właśnie ten pokój, a większy z piękną panoramą zostawiła dla gości. Nie żeby spodziewała się ciągłych odwiedzin. Od czasu do czasu wpadnie Gina z Tomem, no i rodzice, którzy przeżyli szok, kiedy usłyszeli o jej planach. Inni przyjaciele o niczym nie wiedzieli. Ustaliła z Giną, że tak będzie lepiej.

Wiele myślała o przeprowadzce do Sydney. Obie z Giną uznały, że jeśli zostanie w Willowbank, to po pierwsze, plotkom nie będzie końca, a po drugie, Gina przytłoczy ją swoją nadopiekuńczością.

Czyli lepiej, jeśli Mattie na rok zniknie. Oczywiście wiedziała, że może doskwierać jej samotność. Ta jedna sprawa trochę niepokoiła panią psycholog, która badała jej motywację. Ale Mattie przekonała ją, że lubi swoje towarzystwo. Jako autorka i ilustratorka książek dla dzieci mnóstwo godzin spędzała zatopiona w pracy.

– Masz partnera? Chłopaka? – pytała psycholożka. Nie, od trzech lat nie była z nikim związana, ale nie chciała o tym rozmawiać.

– A jeśli za miesiąc lub dwa spotkasz kogoś? – ciągnęła psycholożka. – Cięża w znacznym stopniu ograniczy twoje życie towarzyskie.

Mattie wzruszyła ramionami. Od dłuższego czasu nie prowadziła żadnego życia towarzyskiego.

– To tylko rok – zauważyła.

– Będziesz potrzebowała wsparcia.

– Rodzice dziecka będą mnie odwiedzać. Z resztą przyjaciół i rodziną będę w kontakcie telefonicznym lub mejlowym.

Nie wspomniała, że nikogo nie prosiła o wsparcie. To Matilda Carey wszystkim zawsze biegła na ratunek, natomiast sama nigdy nie zwracała się o pomoc.

Było kilka minut po północy, kiedy usłyszała otwierające się drzwi i odgłos kroków na posadzce. Spodziewała się usłyszeć również szepty lub śmiech, ale jedynie rozległ się łoskot i ciche przekleństwo, jakby ktoś się o coś potknął. Potem znów kroki i wreszcie szum wody w łazience. Po paru minutach kroki skierowały się do sypialni Jake'a. Mattie przykryła głowę poduszką. Wołała nie wiedzieć, co się tam dzieje.

Nazajutrz zmywała po śniadaniu, kiedy do kuchni wszedł Jake. Nieogolony, o zaczerwienionych oczach, wyglądał jak niedźwiedź cierpiący na ból głowy.

– Dzień dobry. – Mattie uśmiechnęła się przez ramię.

Odpowiedział jej krótki pomruk.

– Herbata jest jeszcze ciepła...

Skrzywiwszy się, Jake popatrzył na lśniący czystością stół i blaty.

– Gdzie zaparzac do kawy?

Mattie sięgnęła do górnej szafki.

– Umyłaś go? Całą kuchnię wyszorowałaś...

– Zajęło mi to dosłownie chwilę.

Jake z posępną miną potarł ręką czoło. Może naprawdę boli go głowa? Mattie chciała zaproponować, że usmaży jajecznicę na bekonie. Zwykle solidne śniadanie pomaga na kaca. Ugryzła się jednak w język. Coś jej

mówiło, że Jake wścieknie się, usłyszawszy taką propozycję. Zresztą niech Ange się o niego zatroszczy. To znaczy, kiedy wstanie, bo pewnie wciąż śpi.

– Nie będę ci przeszkadzać – rzekła Mattie. – Jadę do miasta. Jestem umówiona.

– Ja też.

Była zaskoczona, że Jake udziela jej jakichkolwiek informacji.

– Okej. Powodzenia.

Wzruszywszy ramionami, odwrócił się i skupił na parzeniu kawy. Mattie opuściła kuchnię. Co z tego, że jej współlokator jest gburem? Za parę dni zniknie z jej życia. Nie muszą się do siebie uśmiechać.

Przechodząc koło otwartych drzwi sypialni, znów zobaczyła zmiętą pościel. Czym prędzej odwróciła wzrok; nie chciała podglądać Ange. Tylko że...

Ponownie zerknęła na łóżko. Nie, nie pomyliła się. Łóżko było puste. Ange nie nocowała z Jakiem, co pewnie tłumaczy jego podły humor.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kobieta w domu opieki uśmiechnęła się do Jake'a.

– Tędy, panie Devlin. Roy już nie śpi. Jest bardzo przejęty pana wizytą.

Idąc wąskim korytarzem, Jake czuł nieprzyjemny ucisk w sercu. W powietrzu unosił się szpitalny zapach, a na ścianach wisiały obrazy przedstawiające kwiaty, motyle i misy z owocami. To nie jest dobre miejsce dla Roya, który uwielbiał otwarte przestrzenie, konie, eukaliptusy.

Mijając kolejne drzwi, Jake widział siwych staruszków, którzy spali w łóżkach lub kiwali się w fotelach, i jego uczucie przygnębienia rosło. Cierpiał na myśl o tym, że tak wspaniały facet jak Roy Owens, który całe życie spędził na farmach, na stare lata osiadł w domu opieki.

Od ostatniej wizyty Jake'a upłynęło sześć miesięcy; w tym czasie Roy zmienił się niemal nie do poznania. Silny umięśniony gość, którego Jake ubóstwiał w dzieciństwie, przeistoczył się w bladego kruchego starowinę.

Lata temu Roy pracował jako zarządca należącej do Devlinów farmy położonej w północnej części stanu Queensland. Jeszcze kilka lat temu był silny jak dąb i o głowę wyższy od ojca Jake'a. To on nauczył Jake'a jeździć konno, łowić ryby, łapać cielaki, szukać złota.

W nocy, siedząc przy ognisku, opowiadał chłopcu fascynujące historie. Nikt nie wiedział tyle co Roy o nocnym niebie, o miejscowych tradycjach i przygodach pierwszych osadników. Dziesięcioletni Jake wierzył, że Roy Owens jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie.

Roy wszystko potrafił: chwycić byki, odnajdować zaginionych turystów, piec w ognisku pyszne podpłomyki. Jego najważniejszą cechą była cierpliwość. Bez względu na to, jak ciężko pracował, zawsze miał czas dla

samotnego chłopca, którego rodzice ciągle zajęci byli hodowlą bydła, tresurą koni wyścigowych lub życiem towarzyskim.

Kiedy Jake spytał rodziców, dlaczego wysłali Roya do domu opieki w Sydney, ci stwierdzili, że niestety nie mieli wyjścia. Roy potrzebował stałej opieki medycznej.

– A chociaż go odwiedzacie?

– Kochanie, przecież wiesz, że jesteśmy potwornie zapracowani – odparła matka. – Ale jak tylko znajdziemy czas, na pewno się do niego wybierzemy.

Do tej pory czasu nie znaleźli. Usiłując zdławić łzy, Jake wszedł do małego pokoiku, w którym czekał na niego jego stary przyjaciel.

– Jake, chłopcze! Jak miło cię znów widzieć! – Uśmiechnięty staruszek chudą ręką poklepał stojące obok krzesło. – Siadaj. Zaraz nam przyniosą drobny poczęstunek. No, opowiadaj o Mongolii.

W przeciwieństwie do wielu osób, które pytały Jake'a o pobyt w Mongolii, Roy słuchał z autentycznym zainteresowaniem. Wiedział, że dla Mongołów konie są równie ważne jak dla mieszkańców australijskiego pustkowia. I że zarówno na farmach w Australii, jak i na mongolskim stepie, dzieciaki uczą się jazdy konnej niemal od niemowlęctwa.

Opowiadając o życiu w Mongolii, Jake nagle uświadomił sobie, że ich role się odwróciły. Dziś on snuje opowieści, a Roy słucha. Dwie godziny później wyłonił się na powietrze, cały czas jednak dręczyło go poczucie, że zawiódł przyjaciela.

Mattie wróciła od lekarza w doskonałym nastroju. Zamrożone zarodki Giny i Toma trafiły już do kliniki; za dwa tygodnie ona sama rozpocznie przyjmowanie hormonów. Jeśli szczęście jej dopisze, w ciągu miesiąca powinna zająć w ciążę.

Gina i Tom byli cudownymi ludźmi, którzy jak mało kto zasługiwali na to, by mieć dziecko. Zakochali się w sobie jako nastolatki i z każdym dniem ich miłość rosła. Prowadzili farmę nad brzegiem Willow Creek; w ich domu zawsze czekał na gości dzbanek herbaty i świeżo upieczone ciasto. A na końcu korytarza znajdował się pomalowany na żółto i białe pokoik dla dziecka, o którym oboje marzyli.

Mattie spotkała się z przyjaciółką tego dnia, kiedy ta dowiedziała się, że czeka ją histerektomia. Siedziała skulona w kącie, zanosząc się płaczem, zupełnie jakby ktoś umarł. I w pewnym sensie tak było: Gina właśnie żegnała się z myślą o dziecku.

Mattie wiedziała, jaki to dla Giny straszny cios. Przed laty, bawiąc się lalkami w domku na drzewie, obie lubiły wyobrażać sobie, jak w przyszłości będą wyglądały ich rodziny. Mattie jako jedynaczka uważała, że wystarczy jej dwójka dzieci, natomiast Gina, która pochodziła z licznej rodziny, upierała się przy pięciorgu. Jej mężem zawsze miał być Tom. A tu nagle okazało się, że nawet jedno dziecko nie wchodzi w grę. Niedługo później Mattie, która po przykrym rozstaniu z narzeczoną straciła nadzieję na założenie rodziny, wpadła na pomysł, jak pomóc przyjaciółce.

Urodzi za nią. Zostanie surogatką. To idealne rozwiązanie. Gina z Tomem będą mieli dziecko, a ona zrobi coś pożytecznego, co w dodatku pozwoli jej zapomnieć o rozstaniu. Wszyscy na tym skorzystają. Postanowiła czym prędzej przedstawić Ginie swój plan.

Przyjaciele zaprosili parę osób na niedzielny lunch. Kiedy goście wyszli, Mattie została dłużej. Myła kieliszki, Gina wstawiała naczynia do zmywarki, Tom układał na stosie drewno.

W pierwszej chwili Gina jej nie zrozumiała.

– Mogłabym urodzić wasze dziecko. Jako surogatka. – wyjaśniła Mattie.

Szok na twarzy Giny szybko ustąpił miejsca podnieceniu. Ale kiedy zobaczyła minę męża, jej entuzjazm przygasł.

– To niesamowite poświęcenie, Mattie – zauważył Tom. – Na pewno wszystko przemyślałaś? Przez dziewięć miesięcy nosiłabyś cudze dziecko.

– Nie cudze. Wasze. Dziecko moich przyjaciół.

Tom uśmiechnął się nieporadnie i przeczesał ręką swoje rude włosy.

– Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, aby ktoś inny niż Gina miał urodzić moje dziecko. Nawet tak bliska nam osoba jak ty.

Ta rozmowa odbyła się pół roku temu. Więcej nie poruszali tematu. Mattie była zawiedziona, że przyjaciele nie zaakceptowali jej pomysłu. Urodzenie dziecka nadałoby sens jej życiu. Po rozstaniu z Pete'em opiekowała się babcią, ale gdy staruszka umarła, ogarnęło ją uczucie pustki i beznadziei.

Oczywiście starała się maksymalnie wypełnić sobie czas. Napisała kolejną książkę, wykonała do niej ilustracje, i to było bardzo przyjemne, lecz wciąż nie potrafiła się odnaleźć. I wtedy zadzwoniła Gina.

Czy mogliby wpaść pogadać? Tom zmienił decyzję. Zastanawiali się nad adopcją, ale adopcja to ostateczność, więc jeśli Mattie podtrzymuje swą decyzję, ich wdzięczność nie miałaby granic.

Po dzisiejszej wizycie u lekarza Mattie, pragnąc uczcić dobrą nowinę, wstąpiła do sklepu po butelkę wina. Bądź co bądź, gdy już zajdzie w ciążę, nie będzie mogła tknąć alkoholu. Kupiła również składniki do swej ulubionej pizzy. Jeśli Jake Devlin nadal będzie w złym humorze lub Ange będzie chodzić nadaśana, zaprosi ich do wspólnego posiłku. Jedzenie zwykle poprawia ludziom nastrój.

Wysławszy do Giny mejla, zabrała Brutusa na długi spacer. Nie niecierpliwiła się, kiedy piesek przystawał co kilka metrów, żeby coś powąchać. Kiedy wypoczęta wróciła do mieszkania, nastawiła muzykę,

otworzyła butelkę i przystąpiła do pracy. Popijając wino, przesiewała mąkę, ugniatała ciasto, kroїła warzywa.

Usłyszała klucz obracający się w zamku. Świetnie. Pizza jest prawie gotowa; wystarczy wsunąć ją do piekarnika.

– Jak leci? – zapytał Jake, przystając w progu.

Wyglądał równie seksownie jak wcześniej. Posłała mu nerwowy uśmiech.

– W porządku.

– Napracowałam się.

– E tam. Raczej nabałagałam.

Podszedł bliżej i, stojąc z rękami niedbale opartymi na biodrach, popatrzył na okrągły placek. Dziś koszulę miał starannie zapiętą, Mattie nie bardzo więc rozumiała, dlaczego nogi jej drżą. Wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. Niewiele to dało.

– Mm, nigdy nie jadłem pizzy z ziemniakami.

– Powinieneś skosztować. Jest pyszna.

– Nie wątpię. – Rozciągnął usta w uśmiechu.

Mattie spuściła wzrok. Uśmiech Jake'a wydał się jej o wiele groźniejszy niż jego goły tors.

– Będzie gotowa za dwadzieścia minut.

– Niestety... – Spojrzał na zegarek. – Jestem umówiony, a muszę jeszcze wskoczyć pod prysznic.

Promiennym uśmiechem starała się pokryć rozczarowanie. Podejrzewała, że Jake wybiera się na randkę z Ange.

– Miłego wieczoru! – zawołał, oddalając się w stronę łazienki.

– Dzięki. Nawzajem.

Wieczór był pogodny, toteż Mattie wyszła z pizzą na balkon. Brutus podreptał za nią i ułożył się u jej stóp. Chociaż balkon znajdował się od strony wschodniej, niebo znaczyły czerwone smugi zachodzącego słońca.

Mattie westchnęła. Jedzenie jest doskonałe, ma wspaniały widok na zatokę, lubi przebywać sama, więc skąd się bierze jej nastrój przygnębienia? Wczoraj rano cieszyła się perspektywą rocznego pobytu w Sydney. Dziś wieczorem marzyła o towarzystwie.

Nie ma to sensu. Co się stało? Co popsuło jej humor? Jak ma przez dziewięć miesięcy wytrzymać huśtawkę hormonalną, jeżeli z powodu jednego faceta, którego prawie nie zna, jest bliska łez? Nawet niespecjalnie darzy go sympatią!

Wróciła do mieszkania, posprzątała w kuchni, zakryła klatkę kanarka i rozejrzała się smętnie dokoła. Co teraz?

Jedna rzecz zawsze poprawiała jej humor. Wyciągnęła z szafy blok rysunkowy, piórka, farby i położyła wszystko w salonie na stoliku. Nucąc pod nosem, rzuciła poduszkę na podłogę i usiadła, gotowa przystąpić do pracy.

Zaczynała nową książkę. Pomysł chodził jej po głowie od kilku tygodni, ale była zbyt zajęta przeprowadzką, aby cokolwiek z nim zrobić. Dziś nadeszła pora, by za pomocą kredek i pędzli przelać myśli na papier.

Najpierw chciała przedstawić bohaterkę, małą dziewczynkę, która mieszka na przedmieściach, w staromodnym domu, razem z mamą, tatą, kotem i kanarkiem. Mattie zatemperowała ołówek i narysowała pierwszą kreskę. Już po chwili pochłonął ją zaczarowany świat jej wyobraźni.

Kiedy Jake wrócił kilka minut po północy, w mieszkaniu panował mrok. Ponieważ wczoraj potknął się o coś, dziś przezornie zapalił światło. Zdziwił się, widząc zawalony stół w salonie. Czyżby Mattie, maniaczka czystości, zostawiła taki bałagan?

Zaintrygowany podszedł bliżej.

Na stoliku leżał obraz przypuszczalnie pozostawiony na wierzchu, by wysechł. Była to akwarela przedstawiająca wnętrze łazienki. Ze staromodnej wanny na zakrzywionych nóżkach wystawała głowa małej dziewczynki. Piana mieniająca się wszystkimi kolorami tęczy wylewała się na biały puszysty dywanik, na którym leżała para skarpetek w biało-różowe paski. Ze stojącego obok wiklinowego kosza zwisał rękaw niebieskiego sweterka. W rogu, częściowo schowany za koszem, siedział puszysty czarny kot.

Była to prosta scenka narysowana kilkoma pociągnięciami, ale miała w sobie coś niezwykle intrygującego. Jake przyjrzał się ponownie dziewczynce w wannie, jej ciemnym lokom i niebieskim oczom, i roześmiał się cicho. Wyglądała przeciętnie, a zarazem ujmująco. Zupełnie jak autorka obrazu.

Nazajutrz obudził Mattie dochodzący z kuchni brzęk garnków i patelni, a kiedy otworzyła drzwi sypialni, dobiegł ją zapach smażonych pieczarek.

Spała trochę dłużej niż zazwyczaj, bo też i później niż zazwyczaj poszła spać. Gdy skończyła obraz, przez wiele godzin leżała w łóżku, rozmyślając o kolejnych rozdziałach książki. Ale nie słyszała, jak Jake wchodził, czyli musiał wrócić w środku nocy. Aż dziw, że już był na nogach. Ubrała się pośpiesznie w dżinsy i T-shirt, umyła się, uczesała, po czym udała do kuchni.

Jake stał tyłem, ubijając jajka.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się przez ramię. – Wypuściłem Brutusa do ogródka.

– Dziękuję. – Zauważyła, że napełnił psią miskę wodą.

– Jak to się stało, że tak małemu pieskowi dano na imię Brutus?

– Nie mam pojęcia – przyznała Mattie. – Pewnie jego poprzedni właściciele mieli poczucie humoru.

– Poprzedni?

– Moja przyjaciółka Lucy jest weterynarzem. Ktoś zostawił jej Brutusa pod drzwiami. Szukała dla niego nowego domu.

Przerwawszy ubijanie, Jake obrócił się.

– I ty się zgłosiłaś.

– Tak.

Przez chwilę przyglądał się jej bez słowa, po czym wskazał na patelnię.

– Znalazłem w lodówce pieczarki. Robię omlet.

Wyglądał na zadowolonego z siebie. Mattie opuściła wzrok. Wczoraj była zaskoczona swoją reakcją na widok tego mężczyzny o lśniących czarnych oczach i seksownym uśmiechu; obiecała sobie, że to się więcej nie powtórzy. Wystarczy odrobina silnej woli.

Zresztą i tak nic by z tego nie wyszło. Po pierwsze, on ma dziewczynę; po drugie, patrząc na niego, przypominała sobie swój ostatni związek. Była taka zakochana, a on odszedł do innej! Nigdy więcej nie zamierzała tak cierpieć.

Po trzecie zaś Jake wkrótce wyjedzie, a niedługo później ona będzie w ciąży. Wtedy żaden facet nie wykaże nią zainteresowania. Nie żeby to jej w czymkolwiek przeszkadzało. Przez ten rok zamierzała żyć cnotliwie i poświęcić się ważnej sprawie. Wzruszywszy ramionami, posłała Jake'owi pogodny uśmiech.

– Możesz użyć wszystkie.

– Zjesz ze mną?

– Nie, dziękuję. Mam alergię na jajka – oznajmiła. – Zwykle jadam owsiankę.

Przez moment wydawało jej się, że widzi na twarzy Jake'a wyraz zawodu. Pogratulowała sobie w duchu.

– Żałuj. Robię fantastyczne omlety.

Mattie zmieszała owsiankę z wodą i wstawiła kubek do mikrofalówki.

– Gdzie nauczyłeś się gotować?

– W Mongolii.

– Naprawdę? – Mimo obietnicy, że nie ulegnie czarowi Jake'a, była nim zaintrygowana.

– Pracuje u nas znakomity kucharz, Kanadyjczyk francuskiego pochodzenia. Ilekroć się nudzę, wpadam do Pierre'a do kuchni i pomagam mu przyrządzać posiłki.

– Pewnie w Mongolii nie ma zbyt wielu rozrywek?

– Nie, chyba że się człowiek wymknie do Ułan Bator. – Zgrabnym ruchem Jake złożył omlet na pół.

– Jesteś geologiem, jak Will?

– Nie, inżynierem ekologiem.

– A więc pilnujesz, aby firmy wydobywcze nie zatruwały środowiska?

– Coś w tym stylu.

– To chyba satysfakcjonująca praca?

– Owszem. – Zmniejszył ogień pod patelnią. Dzwonek w mikrofalówce zabrzączał. Mattie wyjęła owsiankę.

– A ty czym się zajmujesz? – spytał Jake.

– Różnymi rzeczami. Nie mam żadnych dyplomów ani specjalizacji.

– Malujesz.

– Widziałeś bałagan, jaki wczoraj zostawiłam? Przepraszam.

– Prawdę mówiąc, ucieszyłem się. Bałagan świadczy o normalności.

Jego uśmiech sprawił, że zakręciło się jej w głowie. Zanim zdążyła się wystraszyć, z klatki przy oknie dobiegł głośny śpiew.

– Cześć, Pavarotti.

– Pavarotti?

– Tak się nazywa. Jak ten śpiewak operowy.

Jake zsunął omlet na talerz. Mattie wyjęła z szuflady sztucce – nóż z widelcem dla Jake'a, łyżkę dla siebie, po czym usiedli po dwóch stronach małego stołu.

Nabierając na widelec kawałek puszystego omletu, Jake wskazał głową klatkę.

– Lubisz operę?

Przypomniawszy sobie muzykę heavy metalową, którą słyszała pierwszego dnia, ze zwykłej przekory chciała powiedzieć „tak”, ale przeważyła jej wrodzona uczciwość.

– Operę uwielbiała moja babcia – odparła. – Ja wołałam imię Elvis, ale kanarek należał do babci, więc to ona miała decydujący głos. – Na moment zamilkła. – Zmarła w zeszłym roku, a ja odziedziczyłam Pavarottiego.

– Byłyście sobie bliskie?

– Przez ostatnie dwa lata mieszkaliśmy razem. Opiekowałam się nią.

W ciemnych oczach Jake'a dostrzegła zdziwienie, a potem smutek. Przez kilka minut jedli w ciszy.

– Masz jakieś plany na dziś? – spytała w końcu Mattie.

– Może pójdę do kina.

– W tak piękny dzień?

Skrzywił się, jakby poczuł się urażony jej tonem.

– Mam półroczne zaległości.

– Faktycznie.

– Może wybierzesz się ze mną?

Zastanawiała się, co powiedzieć. Korciło ją, by spytać, czy Ange jest jego dziewczyną. A może Jake jest wolnym człowiekiem, który umawia się, z

kim chce? Chociaż nie miała żadnych planów, na wszelki wypadek wołała odmówić.

– Nie mogę – oznajmiła szybko. – Jestem umówiona.

Jeśli Jake poczuł się zawiedziony, niczego po sobie nie okazał. Po śniadaniu Mattie ogarnęło przygnębienie. Chodziła z kąta w kąt, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Usiłując zająć czymś myśli, zaczęła obdzwaniać salony fryzjerskie, pytając, czy przypadkiem nie mają dziś przed południem wolnego terminu.

Dwie godziny później uśmiechnęła się do swojego odbicia, zadowolona z eleganckiej krótkiej fryzury i włosów barwy kasztanowej z miedzianymi refleksami.

Tłumaczyła sobie, że to prezent przedciążowy. Że nowy wizerunek nie ma nic wspólnego z osobą Jake'a. Ale po powrocie do domu wzięła długą kąpiel, następnie włożyła najlepsze ciemne spodnie i beżową bluzkę z jedwabiu. Uszy ozdobiła kolczykami z granatem. Wyglądała rewelacyjnie, ale czuła się kretyńsko. Pewnie Jake będzie się zastanawiał, dla kogo tak się wystroiła.

Wciąż nie potrafiła się zdecydować, czy ma się przebrać, czy nie, kiedy nagle usłyszała klucz w zamku. Szybko pobiegła do kuchni.

Jake przystanął w drzwiach.

– Pani wybaczy... – uśmiech zadrgał mu na wargach – ale chyba pomyliłem mieszkania.

Mattie zaczerwieniła się.

– Pewnie wychodzisz? – dodał. – Jesteś taka wystrojona...

– Tak – skłamała, zamykając szafkę z garnkami. – Przyjaciół zaprosił mnie na kolację.

Jake skinął głową. Wykonał krok w stronę swojego pokoju, po czym obejrzał się przez ramię. – Ładnie ci w tej fryzurze.

Wściekła na siebie oddalała się od domu. Odkąd poznała Jake'a, przestała logicznie myśleć. W dodatku okłamała go, że jest z kimś umówiona, no i teraz włóczyła się po okolicy, szukając jakiejś restauracji.

Postanowiła wstąpić do pierwszej knajpy. Dwie przecznice dalej zobaczyła nieduży lokal o prostym wystroju, kamiennej podłodze i metalowych stolikach, w którym podawano azjatyckie potrawy.

Większość gości miała na sobie sprane dzinsy i bawełniane koszulki. Nie przejmując się, że odstaje strojem, Mattie usiadła przy stoliku. Zamówiła coś do jedzenia, poprosiła o kieliszek białego wina i przez dziesięć minut siedziała, rozglądając się wokoło.

A potem do lokalu wkroczył Jake.

ROZDZIAŁ TRZECI

Serce zabiło jej jak szalone. Jake ubrany był na czarno, włosy potargał mu wiatr. Nie była pewna, czy ją zauważył, ale jeśli nawet nie, to wiedziała, że za moment ją dostrzeże. Wiedziała też, co dalej nastąpi. Ona zaczęła się tłumaczyć, lecz on i tak przejrzy ją na wylot. Ze wstydu miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Jake powiódł wzrokiem po sali. Mattie opuściła głowę, udając, że go nie widzi. Po chwili usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Zatrzymały się przy jej stoliku. Wstrzymując oddech, uniosła wzrok.

Jake stał w odległości pół metra od niej i uśmiechał się. Z trudem przełknęła ślinę. Co ma powiedzieć? Że przyjaciel, z którym była umówiona, dzwonił i przeproszał, że się spóźni? Bez sensu; Jake nie uwierzy.

I wtem wyciągnął rękę.

– Dobry wieczór. Jake Devlin – przedstawił się. –Pozwoli pani, że się przysiądę?

Była pewna, że dojrzy w jego oczach ironiczny błysk, ale ku jej zaskoczeniu Jake uśmiechał się ciepło, z autentyczną sympatią. Mimo to zawahała się.

– Proszę, niech się pani zgodzi. I nie każe mi grać roli podrywacza.

– Potrafi pan?

– Podrywać? Gdyby w tej kategorii przyznawano Oscary, nigdy bym nie wygrał.

To wyznanie i towarzyszący mu nieśmiały uśmiech zmiękczyły serce Mattie. Podejrzewała, że Jake domyślił się prawdy, ale to nie miało znaczenia. Była oczarowana.

– Oczywiście, panie Devlin – podjęła grę.

– Dziękuję. – Wysunąwszy krzesło, usiadł. Uśmiechając się promiennie, Mattie uścisnęła wyciągniętą na powitanie dłoń.

– Matilda Carey – przedstawiła się.

– Bardzo mi miło – oznajmił z powagą Jake. – Czy przyjaciele mówią do pani Mattie?

– Na ogół tak. – Wzruszyła ramionami, a po chwili, zdobywając się na szczerość, dodała: – Choć czasem im się wymknie Florence Nightingale. – Nazywali ją też świętą Matildą, ale o tym nie wspomniała.

– Pewnie nie bez powodu? Podejrzewam, że tak jak ona ma pani wielkie serce i troszczy się o wszystkich?

– Zgadł pan.

Przechylił głowę. Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się.

– Na przykład o chorą babcię?

Mattie wyprostowała się. Czyżby z niej żartował? Na wszelki wypadek zmieniła temat.

– Zamówiłam rosół z makaronem.

– A ja się skuszę na wołowinę po chińsku. – Jake skinął na kelnerkę, a gdy podeszła, złożył zamówienie. – Poproszę też piwo. – Popatrzył na Mattie.

– Wypije pani jeszcze jeden kieliszek wina?

– Dziękuję, ten mi wystarczy.

Po odejściu kelnerki Jake pochylił się nad stolikiem.

– Wiesz, Mattie, rozmyślałem o tym, co powiedziałaś – ciągnął, kończąc grę w nieznanym, którzy widzą się po raz pierwszy w życiu. – Postąpiłaś naprawdę wspaniałomyślnie, opiekując się babcią przez dwa lata.

Podniosła kieliszek do ust, próbując ukryć zaskoczenie.

– Ciężko ci było?

– Och, nie. Spędziłyśmy razem cudowne lata. Moja babcia to osoba niezwykle urocza, niewymagająca, nigdy na nic się nie uskarżała...

– Bardzo była chora?

– Miała słabe serce; łatwo się męczyła, więc nie mogła zajmować się domem. Wyręczałam ją.

– Gdyby nie ty, co by się z nią stało?

– Pewnie trafiłaby do domu opieki. Moi rodzice prowadzą sklep z narzędziami na prowincji. Nie mieliby czasu, żeby się nią zająć.

– Na szczęście ty znalazłaś czas...

– W pewnym sensie byłam jej to winna. Kiedy w dzieciństwie chorowałam na ospę, świnkę i co tam jeszcze, to babcia wokół mnie skakała. Mama była zbyt zajęta pomaganiem ojcu w sklepie.

Zmarszczywszy czoło, Jake z dziwnie zboląłą miną zaczął przestawiać solniczkę i pieprzniczkę.

– Jake? Co się stało? – zaniepokoiła się Mattie. – Chyba cię nie uraziłam?

– Nie, po prostu potwierdziłaś moje najgorsze obawy.

– To znaczy?

Wzdychając ciężko, oparł brodę na dłoni i zaczął opowiadać Mattie o starym zarządcy, którego znał od dzieciństwa, a który obecnie przebywa w domu opieki w Sydney. Gdy opisywał siłę i hardość, jaką dawnymi czasy odznaczał się Roy, i jego dzisiejszą kruchość, Mattie widziała, jak bardzo Jake przejmuje się losem staruszka.

– Zawiedliśmy go, ja i moi rodzice – powiedział cicho. – Należy mu się od nas więcej.

Mattie wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Jake'a. Zesztywniał, jakby jej dotyk go parzył.

– Odwiedzasz Roya, kiedy tylko masz okazję. Pracujesz w Mongolii, więc nic więcej nie możesz zrobić. Twoje wizyty na pewno bardzo go cieszą.

Napotkał jej spojrzenie. Poczwała dziwny ucisk, jakby ktoś przekręcił niewidzialny klucz w jej sercu. Psiakość! Wcale nie chciała lubić Jake'a Devlina, a darzyła go coraz większą sympatią. Chyba się nie zakochuje?

Nie, skądże! Miłość nie wchodzi w grę. Ona nigdy więcej się nie zakocha. Zwłaszcza teraz.

Cofnęła rękę.

– Zabrałeś Roya do kina? – spytała.

Potrząsała głową.

– Nawet o tym nie pomyślałem. Ale ze mnie egoista! Roy uwielbiał filmy przygodowe.

– Możecie pójść jutro – zasugerowała Mattie.

Rozpogodził się.

– Świetny pomysł. Wprawdzie to mój ostatni dzień, ale jakoś znajdę czas.

Mattie zamysliła się.

– Z drugiej strony, jeśli Roy kocha naturę, to może wolałby spędzić dzień na powietrzu? Mógłbyś go wziąć na przejażdżkę promem po zatoce.

– Jesteś genialna!

Obserwując Jake'a, gdy podnosi kufel i pije piwo, Mattie uznała, że jeszcze nigdy w życiu nie spotkała równie seksownego faceta.

Nie licząc narzeczonego, wszyscy mężczyźni, z jakimi się umawiała, pochodzili z Willowbank; znała ich od urodzenia. Razem bawili się w przedszkolu, razem uczyli w szkole. Uczęszczali do tego samego klubu jeździeckiego i na lekcje religii. Natomiast Jake... o nim nic nie wiedziała; otaczała go aura tajemnicy.

Nagle Mattie spieszyła się; rumieniec zabarwił jej policzki. Nie uszło to uwadze Jake'a. Właściwie nie wiedział, dlaczego udał się za nią do restauracji; pewnie by poradzić się w sprawie Roya. Na pewno nie przyszedł dlatego, że tak zgrabnie wyglądała w tych wąskich spodniach ani że nowa fryzura podkreślała błękit jej oczu.

Co to, to nie. Mattie nie interesowała go jako kobieta. Nawet nie była w jego typie. Nie przepadał za drobnymi poważnymi kobietami w stylu szarej myszki. Okej, trochę przesadził. Zwłaszcza dziś Mattie nie wyglądała jak szara myszka, ale na pewno jest drobna i poważna.

Przypomniał sobie parzący dotyk jej dłoni. Dziwne. Takiej reakcji się nie spodziewał. Przecież Mattie nie budzi w nim pożądania...

Ale dlaczego zerwał z Ange? Dlaczego kręcił się rano po kuchni? Dlaczego spytał Mattie, czy nie wybrałaby się z nim do kina? Wolał się nad tym nie zastanawiać. Nic z tego nie rozumiał. W dodatku Mattie też wysyłała sprzeczne sygnały, jakby chciała mu zaimponować, a jednocześnie próbowała go zniechęcić. Dzisiaj polazł za nią jak ostatni kretyn. Nie miał zwyczaju łązić za kobietami, ale wmówił sobie, że Mattie udzieli mu paru cennych wskazówek na temat Roya. Czyżby się oszukiwał?

Wiele by dał, by poznać odpowiedź. Odetchnął z ulgą, kiedy kelnerka przyniosła zamówione dania i mógł się skupić na konsumpcji.

Mattie sięgnęła po pałeczki; nic dziwnego, skoro w jej zupie było więcej makaronu i warzyw niż płynu. Posługiwała się nimi z ogromną wprawą. Jake nie mógł oderwać wzroku od jej dłoni o jasnej delikatnej skórze. Chyba ładniejszych nie widział. Wyobraził sobie, jak trzymając w palcach piórko lub pędzel, Mattie tworzy swoje bajeczne dzieła sztuki.

– Jaka jest kuchnia w Mongolii? – zapytała. Zamrugnął powiekami, a po chwili wrócił do rzeczywistości.

– Pytasz o tradycyjną mongolską kuchnię czy o to, co my jemy?

– O jedno i drugie.

– Nasz kucharz gotuje normalne zachodnie potrawy. A miejscowi uwielbiają baraninę. W każdej postaci. Nawet piją barani tłuszcz. To nie jest kraj dla wegetarianów.

– Osobiście lubię mongolską jagnięcinę – przyznała Mattie.

– Tak, ale to, co podają w azjatyckich knajpkach w Sydney, ma się nijak do baraniny jedzonej w stepie.

– Powiedz, mieszkacie tam w barakach czy w takich małych okrągłych namiotach?

– W jurtach.

– Czyli warunki są dość prymitywne?

– Bez przesady. Jest całkiem wygodnie. Zimą mamy piece, którymi się ogrzewamy. Podczas letnich upałów można zwinąć wojłok, którymi pokryte są ściany, i powstaje przewiew.

– To zupełnie inny świat, prawda? – Mattie wyjrzała przez okno na rozświetlone miasto.

– Dlatego mi się podoba. Ale dorastałem na pustkowiu w Australii, więc nie miałem problemów z adaptacją.

– Dlaczego wyjechałeś tam do pracy?

Nieraz zadawano mu to pytanie, ale po raz pierwszy żałował, że nie może udzielić innej odpowiedzi, powołać się na jakiś wyższy cel, na jakieś szlachetne pobudki czy wartości. Po chwili wahania uznał, że nie będzie udawał lepszego, niż jest.

– Nic mnie tu nie trzyma, nie mam żony, dzieci ani żadnych zobowiązań. Zaproponowano mi pracę w miejscu, do którego sam bym się

pewnie nigdy nie wybrał, ale nie ukrywam, że największą pokusą okazało się niezwykle hojne wynagrodzenie.

Spodziewał się, że w spojrzeniu Mattie zobaczy dezaprobatę. Ku jego zaskoczeniu uśmiechnęła się.

– A potem przyjeżdżasz na urlop i nadrabiasz stracony czas.

– Można tak powiedzieć.

Właśnie z Ange nadrabiał stracony czas, kiedy Mattie zastukała do drzwi, dziś z kolei niczego nie nadrabiał, nawet nie próbował szukać kontaktu z Ange. Czy to coś znaczy?

– Opowiedz mi o swoich obrazach – poprosił, chcąc zmienić temat.

Mattie machnęła ręką, jakby to nie było nic ważnego.

– To zwykłe ilustracje do książki dla dzieci.

– A książkę też zamierzasz napisać?

Skinęła głową.

– Miałaś już coś wydane?

– Tak. Trzy. Ta będzie czwartą.

– Serio? – Oczy mu załśniły. – Wspaniale! Nigdy nie spotkałem prawdziwej pisarki.

– Większość ludzi nie uważa mnie za prawdziwą pisarkę. Sądzą, że twórczość dla dzieci to łatwizna.

– Jak może być łatwizną coś, co rodzi się w wyobraźni? A ty nie tylko opowiadasz historię, również ją ilustrujesz. Zawsze mi się wydawało, że dziecko jest najsurowszym krytykiem.

Mattie uśmiechnęła się, zadowolona z jego słów uznania.

– O czym są twoje opowieści?

Speszyła się.

– Nie chcę cię zanudzić. – Z dna miseczki zaczęła wyciągać resztki makaronu.

– Nie zanudzisz.

– Nie będziesz się śmiał?

– Przysięgam.

– No dobrze. Piszę o dziewczynce imieniem Molly. – Odłożywszy pałeczki, odchyliła się na krześle i skrzyżowała ręce na piersi.

– Która...?

– Która tak naprawdę jest dobrą czarownicą. Kiedy jej rodzice są zajęci, Molly przeżywa różne przygody. Robi mnóstwo dobrych uczynków, ratuje ludzi...

Tak jak jej twórczyni, pomyślał Jake, próbując stłumić rozbawienie.

– Wiedziałam, że będziesz się ze mnie śmiał.

– Wcale się z ciebie nie śmieję – odrzekł, uśmiechając się szeroko. – Serio, jestem pod wrażeniem. Podejrzewam, że dzieciaki uwielbiają czytać o przygodach Molly.

– Chyba tak – przyznała Mattie, po czym wzruszyła ramionami, jakby uznała temat za zakończony.

– Pójdziemy gdzieś na kawę? – spytał Jake, chcąc zatrzeć złe wrażenie.

Łypnęła na niego wrogo.

– Nie masz innych planów?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Jake był niemal pewien, że zaraz usłyszy odmowę. I dobrze, pomyślał. Pojutrze się rozstaną i więcej nie zobaczą. Po co komplikować sobie życie?

Nagle jednak twarz Mattie rozjaśnił uśmiech.

– Czemu nie? Do ciebie czy do mnie? Odwzajemnił uśmiech. Potraktowała jego zaproszenie z humorem. Najwyraźniej też nie chciała komplikacji i wolała jeszcze jeden dzień pozostać na koleżeńskim stopie.

– Do mnie – odparł. – Mieszkam niedaleko, dosłownie kilka minut stąd.

Wiatr znad zatoki wiał im prosto w twarz, utrudniając prowadzenie rozmowy. Na szczęście nie mieli daleko. Kiedy dotarli na miejsce, Brutus ucieszył się na widok Jake'a nie mniej niż na widok swojej pani. Jake podrapał psa za uchem.

Mattie przeszła do kuchni, zamierzając nastawić kawę. Nie zdziwiła się, kiedy Jake stwierdził, że może jednak wybierze się do miasta. Nie zdziwiła się, ale poczuła się zawiedziona.

– Baw się dobrze – powiedziała, obdarzając go pogodnym uśmiechem.

– Ty też.

– Gdybyśmy się rano nie widzieli, pozdrów ode mnie Roya.

– Jasne.

Odprowadziła go do drzwi. Przystanąwszy na schodkach, Jake obejrzał się przez ramię. Mattie uniosła rękę do potarganych przez wiatr włosów, owinęła kosmyk wokół palca i odgarnęła go za ucho. Zrobiła to naturalnie, bez cienia zalotności, lecz Jake wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Jakby rzuciła na niego urok.

Czując na sobie jego spojrzenie, nie była w stanie oddychać. Świat zawirował jej przed oczami. Szybko oparła się o framugę. Nigdy jeszcze nie zemdląca, ale wiedziała, że gdyby teraz Jake jej dotknął, na pewno osunęłaby się na ziemię.

Na szczęście nawet się do niej nie zbliżył. Odetchnęła z ulgą.

– Może dałabyś się zaprosić? – spytał nagle.

– Słucham? – O czym on mówi, zastanawiała się nerwowo. Czyżby chciał ją zabrać do jakiegoś klubu nocnego?

– Jutro – odparł. – Na przejażdżkę promem.

O ile wcześniej mogła się jeszcze łudzić, to teraz wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Jake nie poszedł za nią do knajpki dlatego, że podobała mu się jej fryzura. Nie przysiadł się do stolika, by z nią poflirtować.

Nie interesowała go jako kobieta. Po prostu Jake Devlin jest taki jak wszyscy: chciał jej pomocy. Prędzej czy później każdy prosił Mattie o pomoc; zwykle jej to nie przeszkadzało, lecz tym razem wiedziała, że dla własnego zdrowia psychicznego powinna odmówić.

Potrząsnęła głową.

– Nie mogę. Muszę skupić się na pracy.

– Och, Mattie, chyba jeden dzień cię nie zbawi?

Nie zamierzała ustąpić. Miała mętlik w głowie, a spędziła z Jakiem zaledwie wieczór. Jeśli spędzi cały dzień, ulegnie jego urokowi. To byłoby bardzo nierozsądne. Głupie. Ryzykowne.

Już raz próbowała związku na odległość. Zakończyła go trzy lata temu. Do dziś wzdrygała się na samo wspomnienie. Nigdy więcej nie chciała przeżyć czegoś takiego, zwłaszcza teraz.

– Szkoda – powiedział Jake. – Wiem, że spodobałabyś się Royowi.

Mattie zaczęła mięknąć. Biedny staruszek. Może niepotrzebnie się obawia? Może robi z igły widły? Jake prosi o jej towarzystwo podczas wycieczki promem, na którą chce zabrać schorowanego starca. Przecież nie będzie jej uwodził.

– Dobrze. – Miała nadzieję, że nie popełnia błędu. – Pojadę z wami. Tylko ze względu na Roya.

Natychmiast po wyjściu Jake'a rozłożyła swoje narzędzia pracy i przystąpiła do malowania. Tym razem ilustracja miała zająć dwie strony w książce i pokazać Molly z kotem na tle okna w sypialni. Dziewczynka spogląda na rozświetlone nocą miasto. W oknach innych domów widzi ludzi, którzy potrzebują jej pomocy: chore dziecko, samotną staruszkę, zabłąkanego kociaka.

Mattie wiedziała, co chce namalować, widziała każdy szczegół, ale czegoś jej dziś brakowało; nie potrafiła zamknąć się w swoim małym świecie, zatopić w pracy, odizolować od wszystkiego wokół.

Jake Devlin ciągle stawał jej przed oczami. Nie mogła przestać o nim myśleć. Pamiętała, jak na nią patrzył, kiedy owijała kosmyk włosów wokół palca. Poczowała wtedy dziwne wibracje, jakby powietrze zadrżało. Gdyby była inną dziewczyną, Jake na pewno by ją pocałował, ale była sobą, pospolitą Mattie Carey. Po chwili wibracje ustały. Jeśli coś między nimi zaiskrzyło, trwało to sekundę.

Całymi latami Mattie zastanawiała się, czy kiedykolwiek się zakocha. W szkole średniej zadurzyła się w koledze, ale po miesiącu czy dwóch została bezceremonialnie porzucona. Po tym przykrym zdarzeniu długo do siebie dochodziła. W kolejnych latach spotykała się z różnymi miejscowymi chłopakami, ale żaden nie zawrócił jej w głowie.

A potem, trzy i pół roku temu, w Willowbank pojawił się Pete. Przyjechał z Perth. Przystojny, z ujmującym uśmiechem, wszedł do sklepu jej rodziców. W Mattie jakby piorun strzelił. Zakochała się po uszy. Kiedy Pete wrócił do Australii Zachodniej, zaczęła go co miesiąc odwiedzać. Latała tak przez siedem miesięcy; Pete częściowo pokrywał koszty podróży. Obiecywał jej wszystko: pierścionek z brylantem, ślub i wielkie wesele, domek na

przedmieściach, dwójkę dzieci. Była szczęśliwa, o niczym więcej nie marzyła. I nagle któregoś dnia zadzwonił, a ona wyczuła zmianę w jego głosie.

Wiedziała, że coś się stało. Kiedy wspomniał, że bilet do Perth kosztuje zbyt dużo, aby co miesiąc latać tam i z powrotem, domyśliła się prawdy. Ale bała się spytać wprost, o co chodzi. Nie chciała znać odpowiedzi.

Później dostała esemesa.

„Przykro mi, skarbie, muszę odwołać nasze zaręczyny i ślub. Nie chodzi o ciebie; chodzi o mnie”.

Spanikowana zadzwoniła do Pete'a i w końcu usłyszała słowa, których tak bardzo się obawiała. Tak, poznał kogoś, zakochał się; czy mogłaby odesłać pierścionek zaręczynowy, najlepiej pocztą poleconą?

Od tego czasu minęły prawie trzy lata. Pete nie tyle złamał jej serce, co roztrzaskał je na kawałki. Mattie czuła się koszmarnie. W dodatku było jej wstyd: jak mogła zakochać się w tak tchórzliwym palancie, który przysyła esemesa, żeby odwołać ślub?

Miała ochotę zapaść się pod ziemię, bo wszyscy w Willowbank, od burmistrza po rzeźnika, słyszeli o jej planach matrymonialnych. A teraz wiedzieli, że narzeczony ją rzucił. Straciła nie tylko godność, ale także dziecięcą ufność; przestała wierzyć mężczyznom, przestała wierzyć sobie, przestała wierzyć w miłość.

Przyjaciele tłumaczyli jej, że nie powinna traktować całej tej sprawy w kategoriach porażki. Łatwo im mówić. To nie im szczęście przeszło koło nosa, nie im ukochany przysłał esemesa z informacją o zerwaniu.

Zrezygnowała z marzeń o mężu i rodzinie. Od tamtej pory z nikim nie była związana, nie umawiała się na randki. Znajdowała tysiące sposobów, aby pomagać ludziom. Dobre uczynki sprawiały jej satysfakcję, a nie ból.

Roy Owens z miejsca wzbudził jej sympatię. Miał lśniąco niebieskie oczy, starannie uczesane rzadkie włosy (przez które prześwitywała plamista czaszka), chude ciało i kabłąkowate nogi charakterystyczne dla kogoś, kto całe życie spędził w siodle, ale w jego spojrzeniu było tyle ciepła i serdeczności, że Mattie instynktownie go uściskała. A gdy zobaczyła radość w jego oczach, kiedy witał się z Jakiem, wzruszenie odebrało jej głos.

– Kusi cię zmiana otoczenia, co? – spytał ze śmiechem Jake. – Wyskoczyłeś z pokoju jak sprinter z bloku startowego.

– Szkoda tracić czas – przyznał starzec z miną ucznia, który planuje wagar. – Przed chwilą dopadła mnie mafia pielęgniarstwa. Kazała mi wrócić za dwie godziny.

– A jeśli nie wrócisz? Zamienisz się w ropuchę?

– Prędeż w królewicza. – Staruszek mrugnął do Mattie.

Idąc do samochodu, trochę niepewnie trzymał się na nogach, więc ofiarowała mu swoje ramię.

– Dzięki, kochanie – powiedział, po czym przyjrzał się uważnie Jake'owi. – Gdzie taki drań jak ty znalazł taką śliczną dziewczuszkę?

Mattie wstrzymała oddech. Ciekawa była odpowiedzi Jake'a. Obojgu zależało na tym, aby Roy nie myślał, że coś ich łączy.

– Poznaliśmy się przez wspólnego znajomego – wyjaśnił Jake; najwyraźniej miał wprawę w udzielaniu wymijających odpowiedzi. – Jeden z moich kumpli w Mongolii pochodzi z tych samych stron co Mattie.

– Czyli? – Roy popatrzył na Mattie z zaciekawieniem.

– Urodziłam się w małym miasteczku o nazwie Willowbank, które leży na zachód od Gór Błękitnych.

Starzec rozpromienił się.

– Więc nie dorastałaś wśród wieżowców? Wiedziałem!

Doszli do samochodu. Mattie zaproponowała, by Jake prowadził, a Roy zajął fotel obok kierowcy – będzie mu wygodniej przy wsiadaniu i wysiadaniu. Potem krętym podjazdem opuścili starannie wypielegnowany teren.

– Zaplanowaliśmy z Mattie wycieczkę promem po zatoce – powiedział Jake, uśmiechając się do staruszka – ale jeśli mamy tylko dwie godziny, to chyba nie starczy nam czasu. Zastanów się, czy jest coś, co byś chciał zobaczyć? Albo miejsce, do którego chciałbyś pojechać?

Skręcili w ruchliwą wielopasmową szosę. Po obu jej stronach stały rzędy domów o czerwonych dachach, z których sterczały anteny telewizyjne.

– Nie ma w pobliżu jakiegoś parku? Kawałka zieleni, na którym rosną krzaki i drzewa?

– Zaraz coś znajdziemy – oświadczył Jake.

– W ostateczności – wtrąciła Mattie – możemy pojechać do ogrodu botanicznego. Niestety nie znam Sydney zbyt dobrze.

– Gdybyś szukał pubów, wtedy byłbym idealnym przewodnikiem.

Szczyście im jednak dopisało, bo dosłownie parę kilometrów dalej zobaczyli rozległy zielony teren.

Zadowoleni pomogli Royowi wysiąść z samochodu. Starzec rozejrzał się po pięknym parku; wśród wielkich starych drzew gdzieś stały stoły piknikowe, niżej rozciągał się widok na malownicze jezioro, na brzegu którego młoda mama z dziećmi karmiła kaczki.

Roy podrapał się po brodzie, po czym zadarł głowę, popatrzył na jasne błękitne niebo i głęboko westchnął.

– I jak? Może być? – zapytał Jake.

Starzec wolno pokiwał głową.

– Całkiem ładnie.

Mattie dostrzegła smutek wycierający z jego oczu.

– Ale liczyłeś na coś innego? – odgadł Jake.

Roy skrzywił się.

– Strasznie tu... czysto. Tak porządnie.

Mattie roześmiała się, próbując rozładować napięcie.

– Wolałbyś widzieć dziko rosnące eukaliptusy, złamane gałęzie, wysoką suchą trawę, prawda?

– Chyba tak – przyznał starzec.

– Chciałbyś czuć zapach liści...

Roy skinął głową.

– Rozpalić ognisko, powiesić nad nim garnek i zagotować herbatę.

– Ponosi cię fantazja, Mattie – uznał Jake, posyłając jej ostrzegawcze spojrzenie.

Ale ona była w swoim żywiole. Uwielbiała wyzwania, cieszyła się, gdy mogła spełniać czyjeś życzenia. Wszystko zaczęło się w dzieciństwie: jako mała dziewczynka próbowała odgadnąć, o co mama ją poprosi, zanim ta zdążyła otworzyć usta, na przykład czy ma przynieść z ogródka groch czy fasolę.

To było łatwe, bo знаła przyzwyczajenia mamy, która do wołowiny zawsze podawała groch, a fasolkę do jagnięciny. Mama jednak nie posiadała się ze zdumienia, kiedy znajdowała w durszlaku wyłuskany groch albo umytą fasolkę z obciętymi ogonkami.

„Mój wspaniały mały jasnowidzu”, mówiła, tuląc do siebie córkę, a Mattie czuła się potrzebna i kochana.

– Pójdę poszukać eukaliptusów – oznajmiła. – Usiądźcie tu sobie, a ja niedługo wrócę.

W połowie drogi prowadzącej wokół malowniczego jeziora zobaczyła kępę drzew i krzewów o charakterystycznych białych pniach i długich, lancetowatych liściach. Wróciła do mężczyzn z naręczem suchych gałęzi.

Na jej widok Jake wstał i uśmiechając się szeroko, pokręcił z niedowierzaniem głową. Roy był zachwycony.

– Są suche, ale pachną – oznajmiła, rzucając je na drewniany stół piknikowy.

Drżącą ręką starzec podniósł cienką gałązkę, zgniótł w palcach kruche liście i pochyliwszy się, wciągnął w nozdrza zapach.

– Idealne – szepnął z błogim uśmiechem.

– Rosną niedaleko, tuż za zakrętem – powiedziała Mattie. – Myślę, że bez trudu moglibyśmy zorganizować garnek i ugotować nad ogniem herbatę.

– Wykluczone – sprzeciwił się Jake. – Nie możemy w parku rozpalać ogniska.

Położyła dłoń na jego ramieniu. Przeszył ją dreszcz. Odskoczyła, wciągając gwałtownie powietrze.

– Wiem, że nie. – Wzięła głęboki oddech, potem drugi. Wiedziała, że musi się uspokoić, skupić na Royu. – Ale możemy ugotować herbatę u nas w ogródku na kuchence turystycznej i zamieszać ją gałązką eukaliptusa. Co ty na to, Roy?

Oszołomiony starzec pokiwał z entuzjazmem głową.

– Przecież nie mamy kuchenki! – zaprotestował Jake.

– To kupimy. Garnek też. Co za problem zatrzymać się po drodze w sklepie ze sprzętem turystycznym?

Kiedy zobaczyła uśmiech na twarzy Jake'a, zrobiło jej się ciepło.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Musiał jej to przyznać: jest niesamowita.

Zorganizowała Royowi wspaniałą dwugodzinny wypoczynek. Oczywiście staruszka błyszczała szczęściem, kiedy siedział w ogródku, na leżaku, z Brutusem na kolanach, i patrzył, jak Jake ustawia kuchenkę.

Przez cały ranek wszystkim dopisywał humor. Śmiechu było co niemiara, zwłaszcza przy ceremoniale parzenia herbaty. Najpierw Roy wsypał do rondelka z wrzątkiem garść herbacianych liści, potem Mattie zamieszała miksturę eukaliptusową gałązką, następnie Jake zaczął wymachiwać rondelkiem, zataczając nim w powietrzu łuk, tak jak to robią kowboje przy ognisku.

Pili z blaszanych kubków, które Mattie znalazła w sklepie, do tego jedli maślane bułeczki, które kupiła w piekarni i podgrzała w mikrofalówce – bułeczki z masłem, polane złocistym syropem.

– Następnym razem będą prawdziwe podplomyki – obiecała starcowi.

Jake chciał jej powiedzieć, żeby dała sobie spokój z następnym razem, bo nie jest nic Royowi winna, ale czuł, że Mattie zlekceważy jego słowa. Tak jak wcześniej przygarnęła Brutusa, tak jak opiekowała się babcią oraz dziesiątkami innych osób, tak teraz wzięła pod swoje skrzydła Roya.

Mattie taka jest. Stara się dogadzać ludziom, każdemu sprawiać przyjemność. Ciekawe, ile osób próbowało ją uszczęśliwić? Jak często na jej twarzy gościł tak wielki radosny uśmiech jak dziś na twarzy Roya?

Kiedy odwieźli staruszka do domu opieki, z samochodu wysiadł całkiem inny Roy Owens. Krok miał bardziej sprężysty, szczyrzył zęby i nie był już tak przeraźliwie blady. Jake nie wierzył własnym oczom. Ale nie tylko Roy się zmienił. Jake też czuł się odmieniony. Od lat nie był tak zrelaksowany jak

dziś, gdy jeździł po Sydney małym autkiem Mattie, szukając sklepów ze sprzętem turystycznym, a potem gdy siedział w ogródku i pił herbatę. Inaczej też patrzył na świat, bardziej optymistycznie, z mniejszą dozą cynizmu.

Podobał mu się człowiek, jakim był w obecności Mattie. Przyszło mu do głowy, że gdyby nie musiał już wyjeżdżać, to chętnie by ją lepiej poznał, choć nie miał zwyczaju przyjaźnić się z kobietami.

Ale Mattie była inna.

– Jaki cudowny dzień – powiedziała, kiedy wracali do domu. – Roy to fantastyczny gość.

Wrzuciwszy kierunkowskaz, Jake się roześmiał.

– Zaczerwieniłby się, gdyby słyszał, co mówisz. Kobiety zawsze go onieśmiały.

– Tacy bywają faceci, którzy większość życia spędzili na pustkowiu, z dala od cywilizacji. Należysz do wyjątków.

– Przypadłaś staruszkowi do gustu.

– Ja jak ja, ale ciebie Roy uwielbia.

– Wiem, traktuje mnie jak syna, którego nie miał.

– To miłe.

Zerknął na nią. Uśmiechała się pod nosem, z zadumą, jakby była nieobecna myślami.

Cisza przedłużała się. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie powiedział czegoś, co mogło Mattie urazić. Wspomniał, że Roy traktuje go jak syna, którego nie miał... Czy z tego powodu pograżyłaby się w zadumie? Chyba nie.

Uświadomił sobie, że chce wiedzieć, o czym Mattie myśli. Że chce, by myślała o nim. Że jej pragnie.

Nie miał pojęcia, jak to się stało. Nie próbowała wkraść się w jego łaski ani mu się przypodobać. Zupełnie nie była w jego typie, a jednak był nią oczarowany.

– Od zawsze taka jesteś? Troszczysz się o ludzi? I zwierzęta?

Skinęła z uśmiechem głową.

– Zaczęło się od kotków.

– Ile miałaś wtedy lat?

Zamyśliła się.

– Chyba dziesięć. Była nas grupa przyjaciół. Graliśmy razem w krykieta, pływaliliśmy, jeździliśmy konno, urządzaliśmy pikniki nad rzeką.

– Zazdroszczę – powiedział Jake, który swoje dzieciństwo spędził samotnie na odległej farmie. Nie miał braci ani sióstr, tylko zapracowanych rodziców i zmieniające się guwernantki.

– Któregoś dnia wybraliśmy się nad pobliską rzeczkę – ciągnęła Mattie.

– Znalazłam tam torbę z półżywymi kociakami. Ktoś wrzucił ją do wody chwilę przed naszym przyjściem. Byłam zrozpaczona.

Jake wyobraził sobie dziesięcioletnią dziewczynkę przejętą losem kociąt.

– Pobiegłam do domu. Rodziców nie było. Poprosiłam przyjaciół o pomoc: osuszyliśmy kociaki, daliśmy im po kawałtku sardynki namoczonej w mleku. Potem schowałam je do szuflady w komodzie.

– Mam nadzieję, że nie na długo?

Prychnęła pogardliwie.

– Taka głupia nie byłam. Nazajutrz wsadziłam je do kosza i objechałam na rowerze całą okolicę między Willowbank a Nardoo.

– I znalazłaś kotkom nowe domy?

– Tak. Wszystkim co do jednego.

Odwzajemnił jej uśmiech.

– Masz jakieś plany na resztę dnia? – spytał.

Zaczerwieniła się.

– Nie... Powinnam usiąść do kolejnych rysunków.

– Ale nie bardzo ci się chce? Wolałabyś pójść ze mną do kina, prawda?

Nie odpowiedziała; siedziała sztywno, wpatrując się przed siebie.

– Mogę dorzucić lunch – kusił dalej Jake.

– Nie jesteśmy odpowiednio ubrani. – Wskazała na swój T-shirt i dżinsy.

– O to się nie martw. Znam świetną knajpkę koło kina, w której podają pyszną rybę z frytkami.

Kąciki warg nieznacznie jej zadrżały. Po chwili rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu. Oczy jej lśniły.

– Skąd wiedziałeś, że uwielbiam rybę z frytkami?

– Mam niezwykłą intuicję.

Potrząsnęła ze śmiechem głową i raptem spoważniała.

– Ale to nie jest randka?

Miał wrażenie, jakby uszło z niego powietrze. Zatrzymawszy się na czerwonym świetle, popatrzył Mattie w oczy.

– Chcę ci jedynie podziękować za pomoc... Swoją drogą, co złego byłoby w randce?

– Mogłaby się nie spodobać Ange.

W pierwszej chwili był pewien, że Mattie żartuje. Ange? A co ona ma z tym wspólnego?

Mattie jednak nie żartowała. Widział to po jej minie.

– Nie przejmuj się Ange – powiedział.

– Dlaczego? Zerwaliście?

– Nigdy nie byliśmy parą.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, potem zmieniła zdanie. Kiedy zapaliło się zielone światło, Jake ponownie wcisnął pedał gazu.

– To na co się wybierasz do kina? – zapytała.

Odetchnąwszy z ulgą, wymienił tytuł filmu o miłości, który grano w tym tygodniu. Zazwyczaj jak ognia unikał tego typu produkcji, ale uznał, że może Mattie lubi romantyczne historie. Większość dziewczyn za nimi przepada. Gotów był się poświęcić, bądź co bądź dzięki Mattie Roy spędził dziś wspaniały dzień.

Ku jego zdumieniu Mattie się skrzywiła.

– Serio? – spytała z niedowierzaniem. – Ja tam wolę thrillery. Nie grają nigdzie dobrego filmu akcji?

Podejrzewał, że to nieprawda, że Mattie znów nie myśli o sobie, tylko o cudzej przyjemności, ale nie zamierzał się z nią kłócić.

Siedząc w przesiąkniętej zapachem popcornu ciemnej sali, cały czas świadoma była bliskości Jake'a. Próbowała skupić się na akcji – był to jeden z tych skomplikowanych filmów szpiegowskich, które należy od początku uważnie śledzić – ale kiepsko jej to szło.

Cholera jasna. Miała wrażenie, jakby buzowały w niej hormony. Bała się, że rzuci się na Jake'a, że nie wytrzyma dwóch godzin bez ruchu, kiedy on siedzi tuż obok.

Nie chciała zrobić z siebie idiotki. Spędzili razem tak cudowny dzień – przedpołudnie z Royem, a potem we dwoje pojechali na lunch. Było sympatycznie; siedzieli na dworze, jedząc z jednorazowych plastikowych talerzy chrupiącą rybę i złociste frytki.

A teraz... teraz zalewała ją fala grzesznych myśli, które nie pozwalały skupić się na filmie. Raz po raz zerkała ukosem na Jake'a, na jego profil oświetlony blaskiem padającym z ekranu.

O Chryste, ale się jej ten facet podoba! Najgorsze było to, że coraz bardziej traciła nad sobą kontrolę. Wyobraziła sobie, jak obsypuje pocałunkami twarz Jake'a, jego czoło, brwi, potem nos, policzki i wreszcie usta...

Opanuj się! – skarciła się w duchu. Ponownie usiłowała skupić się na filmie. Może Jake będzie chciał o nim później porozmawiać. Może należy do tych, co po wyjściu z kina lubią analizować treść.

Powiedziała mu, że nie cierpi filmów o miłości. Skłamała. Uwielbiała je, lecz wiedziała, że każdy facet wolałby przesiedzieć dwie godziny w fotelu dentystycznym niż na łzawym melodramacie. Na szczęście na ekranie pojawił się wątek miłosny i Mattie zaczęła oglądać film z zapartym tchem.

Główny bohater, szpieg, poznał piękną tajemniczą brunetkę, delikatną i wrażliwą. Mattie uznała, że kobieta prawie na pewno jest podwójną agentką. Dlaczego więc bohater tego nie widział? Najwyraźniej zadurzył się w niej. Głupiec. Pół godziny później Mattie zmieniła zdanie w kwestii podwójnej agentki. Chciała, by pozytywny bohater pokonał wroga i żeby kochankowie się zeszli. Brunetka wsiadła do samochodu, przekręciła klucz w stacyjce i wtedy nastąpił wybuch.

Mattie krzyknęła. Jake ścisnął jej dłoń.

– To tylko film – szepnął, oddechem łaskocząc ją w ucho.

Oszołomiona skinęła głową. Kobieta na ekranie spłonęła w wybuchu, a jej robiło się gorąco w ciemnym kinie. Ucho i szyja paliły ją od gorącego oddechu Jake'a. Czowała mrowienie w całym ciele. Jeszcze nigdy nie była tak

podniecona. Westchnęła, ale to westchnienie zabrzmiało jak chrapliwy jęk. Zaczerwieniła się. Dzięki Bogu, że jest ciemno, że Jake jej nie widzi.

Nadal trzymał ją za rękę, kiedy wyszli na ulicę. Oboje zmrużyli oczy przed blaskiem słońca. Mattie modliła się w duchu, żeby Jake nie chciał rozmawiać o filmie. Przez całą drugą połowę nie była w stanie skoncentrować się na akcji; skupiona była na dotyku jego ręki.

– Jak ci się podobało?

– Bardzo – odparła, wstrzymując oddech.

Uśmiechnął się.

– Masz ochotę wrócić do domu?

Zastanawiała się nerwowo, czy to pytanie ma jakiś podtekst. Miała wrażenie, że wiele się zmieniło, odkąd rano opuścili dom. Dziś był ich ostatni wieczór razem. Jutro Jake odlatywał do Mongolii.

– Tak – odparła. Zapewne gdyby poprosił ją, aby przepłynęła przez Zatokę Sydney, też by się zgodziła.

Podróż powrotna ciągnęła się w nieskończoność. Mattie przeżywała katusze. Czy Jake czuje to samo? Przerażała ją siła własnego pożądania. Była pewna, że umrze, jeśli Jake nie porwie jej do sypialni, kiedy tylko wejdą do domu.

Przypomniała sobie o swoich planach ciążowych. Ale ciąża to przyszłość, dopiero za dwa tygodnie ma wizytę u lekarza, a Jake to teraźniejszość. To jego ostatnia noc w Sydney. Dziś Mattie chciała myśleć wyłącznie o nim. O sobie i o nim. Chciała zapomnieć o troskach i zaszaleć.

Zaparkowali przed domem. Zanim jeszcze Jake włożył klucz do zamka, ze środka dobiegło ich wesole szczekanie. Przez chwilę piesek kręcił się wokół ich nóg, potem wybiegł do ogródka.

Mattie rzuciła torebkę na fotel, Jake położył klucze na stoliku w salonie.

– Mattie...?

– Tak.

Po jego wargach przemknął cień uśmiechu.

– Twoje „tak” zabrzmiało jak odpowiedź.

– Chyba jest odpowiedzią.

Wciągnął gwałtownie powietrze. Nie odzywał się. Wiedziała, że Jake czeka, aby wykonała pierwszy ruch.

– Myślałam, że pytasz, czy... chcę, żebyś mnie pocałował.

Zanim zdołała cokolwiek dodać, zgarnął ją w ramiona i zmiażdżył jej usta w pocałunku. Już po chwili, śmiejąc się i potykając, biegli korytarzem w stronę sypialni, oboje jakby lekko zdziwieni, że to się naprawdę dzieje. Co parę kroków przystawali i oparci o ścianę wymieniali gorące pocałunki. W drzwiach do sypialni Jake'a Mattie znieruchomiała.

– Nie, nie tu. – Nie chciała kochać się w tej samej pościeli, na której kochał się z Ange. – U mnie.

Bez słowa wziął ją na ręce, przeniósł do drugiego pokoju i rzucił na łóżko. Splotły się ciała, splotły ręce. Byli głodni, spragnieni siebie. Jake zdjął jej przez głowę T-shirt i aż syknął z wrażenia na widok skąpej bielizny. Mattie, speszona, przyznała, że uwielbia takie koronkowe staniki i maleńkie figi. Nie przyznała, że nosi je także i wtedy, gdy wie, że nikt ich nie będzie podziwiał.

Jake roześmiał się cicho.

– To fantastyczny nałóg. – Wsunął palce pod cieniutkie ramiączka. – Nigdy nie staraj się z niego wyleczyć.

Była zdziwiona, że czuje się tak swobodnie; nie miała żadnych zahamowań, zupełnie jakby tu, w łóżku z Jakiem, było jej miejsce. Wszystko jej się podobało. To, jak ją pieści, czasem delikatnie, czasem namiętnie, jak

całuje, jego wygląd, uśmiech, zapach. Dokładnie orientował się, czego ona pragnie; odgadywał jej myśli, zanim jeszcze ona zdawała sobie z nich sprawę.

Dopiero gdy zbliżyli się do momentu kulminacji, ogarnął ją niepokój. Wiedziała, że musi poruszyć kwestię zabezpieczenia. W związku z planowaną ciążą nie mogła sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko. Niepotrzebnie się martwiła. Jake był przygotowany; podobnie jak ona, wolał uniknąć komplikacji.

Później, gdy promienie zachodzącego słońca wpadały przez okno, Jake zbliżył rękę Mattie do ust i zaczął kolejno całować jej palce.

– Czy ktoś ci mówił, że masz piękne dłonie?

Roześmiała się zaskoczona i uniosła je, jakby chciała im się przyjrzeć.

– Takie szczupłe, gładkie, delikatne...

Nie patrzyła na nie; patrzyła na ręce Jake'a, duże, spalone słońcem.

– W porównaniu z twoimi są strasznie małe. – Zmrużyła oczy. – Wolę twoje.

– Och, nie – zaprotestował Jake. – Twoje są śliczne. Aż mam ochotę je zjeść.

Zacisnął usta na jej palcu. Dotyk ciepłego języka sprawił, że przeszył ją dreszcz.

– Powinnam... bardziej o nie dbać – szepnęła. – Zanim moja przyjaciółka Gina wyszła za męża, wcierała na noc w ręce krem i spała w bawełnianych rękawiczkach.

Jake parsknął śmiechem.

– Nie rób tego, błagam!

– Przecież i tak byś nie wiedział. Następne pół roku znów spędzisz w Mongolii.

– Ale teraz jestem. – Przycisnął usta do jej ust. – Korzystaj, póki możesz.

– Mam taki zamiar.

Powoli zapadł zmierzch i nagle Mattie z Jakiem uświadomili sobie, że są głodni. Udali się do kuchni; postanowili ugotować makaron, a sos przyrządzić ze wszystkiego, co znajdą w lodówce i spiżarni.

Razem obejrzeni kolekcję płyt Willa; zdecydowali się na rock nad roll. Podrygując w rytm muzyki, kroili boczek i warzywa. W tym czasie makaron gotował się na ogniu. Szczęśliwi, nawet nie próbowali hamować swej radości; na zmianę wybuchali śmiechem, przytulali się, całowali.

Danie wyszło znakomicie, znaleźli też butelkę wina. Potem, wiedząc, że mają przed sobą całą noc, zabrali Brutusa na spacer.

Nie przeszkadzał im wiejący znad oceanu wiatr o lekko słonym posmaku, który tarosił ich ubrania i targał włosy. Szli przed siebie, trzymając się za ręce, rozmawiając, uśmiechając się do gwiazd i księżyca. Byli w harmonii z sobą i ze światem.

Nazajutrz rano przyszło Jake'owi do głowy, że zachowywali się jak dwoje zakochanych, którzy świata poza sobą nie widzą i pragną spędzić razem resztę życia, a nie jak para, która przeżyła jednorazową przygodę i więcej się już pewnie nie zobaczy. Ogarnął go smutek.

O świcie, leżąc obok Mattie, starał się oprzeć pokusie zgarnięcia jej w ramiona. Starał się też nie rozpamiętywać wczorajszej cudownej nocy, śmiechu Mattie, cichego szeptu, upajającego zapachu jej skóry, smaku ust...

Wczoraj każda komórka jego ciała dosłownie płonęła. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czuł, nie przeżył tak niesamowitej nocy, ale teraz musiał oczyścić umysł, na chłodno zastanowić się nad tym, co się wydarzyło i co to oznacza. Czyżby popełnił błąd?

Zazwyczaj po seksie z nową kobietą budził się z poczuciem spełnienia. Jak zdobywca, która odkrył nowy ład. Oczywiście często miał ochotę na

dalszą zabawę. Ale wczorajsza noc nie przypominała żadnej innej. Czuł cały wachlarz emocji, a dziś miał potworny mętlik w głowie.

Patrzenie na Mattie, dotykanie jej, kochanie się z nią było pięknym i niezwykłym doświadczeniem, ale najbardziej Jake'a zaskoczyło to, co nastąpiło potem: uczucie błogości. Idylla. Leżał szczęśliwy, spokojny, obejmując tę cudowną kobietę i wiedząc, że są dla siebie stworzeni. Przeraziła go ta myśl. Z nikim nie czuł się tak blisko związany od czasu...

Na moment przeniósł się w przeszłość. Znów był małym chłopcem, samotnym i wystraszonego, który stoi za drzwiami matczynej sypialni, niczego nie rozumiejąc.

Nie! Nie chciał o tym myśleć. Nigdy nie wracał pamięcią do tamtych dni.

Teraz musi rozwikłać inny problem: co począć z Mattie. Pragnął zostać z nią, chronić ją...

Chronić? Od czego? Od zła, od walących się drzew i budynków, od chorób i zwykłych katarów, od innych mężczyzn? Człowieku, weź się w garść!

Zwykle po nocy spędzonej z dziewczyną zniknął. Brał deskę, ruszał na plażę i godzinami surfował albo dzwonił do kumpla i razem szli do pubu. Po prostu z żadną nie chciał się wiązać. Dziś miał wrócić do Mongolii, coś mu jednak wyraźnie ciążyło: niechęć do rozstania z Mattie. Lecz żaden związek nie wchodzi w grę. Mattie należy się słowo wyjaśnienia.

Trudno mu było o tym myśleć, kiedy czuł obok siebie jej miękkie rozgrzane ciało. Ostrożnie, by jej nie zbudzić, wstał z łóżka i przeszedł do kuchni. Brutus czekał, by go wypuścić do ogródka. Otworzywszy drzwi, Jake przez chwilę obserwował, jak pies gania po trawie. Następnie włączył czajnik,

zjął osłonę z klatki, nasypał Pavarottiemu ziarna, nalał do miseczki świeżej wody. Potem zalał kawę i udał się pod prysznic.

Stojąc pod strumieniem gorącej wody, rozmyślał o męczącej podróży: najpierw czeka go długi lot do Pekinu, potem kolejny do Ułan Bator, a stamtąd jazda ciężarówką. Właściwie to całkiem odpowiadało mu życie, jakie wiódł. Jasne, czasem narzekał, że miesiącami tkwi na stepie, ale w gruncie rzeczy lubił ten męski świat, z dala od kobiet i cywilizacji. Kopalnia, baraki, jurty... to było jakby przedłużenie szkoły z internatem.

Dobrze się dogadywał ze swoim zespołem. Wieczorami grywali w szachy, w pokera, w tryktraka lub scrabble'a. Zaprzyjaźnił się też z kilkoma tubylcami; przynajmniej raz w tygodniu jeździł konno. Zarabiał świetnie. Specjaliści od ekologii i ochrony środowiska byli poszukiwani i mogli dorobić się fortuny, jeśli godzili się na pracę w odległych częściach świata. Jake się na to godził.

Był ambitny; chciał udowodnić swoim rodzicom, że idąc własną drogą, osiągnie sukces. I nie chodziło o żaden młodzieńczy bunt. Ojciec nigdy nie miał dla niego czasu. Z matką, przed jej załamaniem nerwowym, był związany, lecz odkąd skończył dziewięć lat, zajmowały się nim guwernantki lub Roy. Potem wysłano go do szkoły z internatem.

Rodzice skupili się na hodowli bydła, tresurze koni wyścigowych i urządzaniu wystawnych przyjęć. Jake czuł się samotny, niechciany, porzucony. Postanowił pokazać rodzicom, że nie zamierza iść w ich ślady, że bez ich pomocy zdobędzie fortunę. Dlatego na razie nie planował zmieniać pracy. Ale dzisiejszego ranka na myśl o kolejnym długim pobycie na mongolskim pustkowiu czuł się tak, jakby nagle stanął nad krawędzią przepaści.

Wiedział, że będzie mu brakowało Mattie, ale nie jest dla niej odpowiednim partnerem. Nie potrafiłby jej zapewnić takiego życia, na jakie zasługiwała. Jeżeli ma za grosz przyzwoitości, powinien ją o tym poinformować. Dziś. Teraz. Zanim wyjedzie. Zanim będzie za późno.

Z kubkiem kawy w ręce stał oparty o blat, kiedy Mattie weszła do kuchni. Miała na sobie biały szlafrok, luźno przewiązany w pasie. Była boso. Ciekawe, czy specjalnie zostawiła włosy lekko potargane, bo wiedziała, że wygląda wtedy nad wyraz seksownie?

Miał wielką ochotę pocałować ją na dzień dobry. Z trudem się powstrzymał. Przecież podjął decyzję.

– Cześć. – Uśmiechnęła się nieśmiało i rozejrzała. – Widzę, że zająłeś się moim zwierzyńcem. Dzięki.

– Drobiazg.

Nie mógł oderwać oczu od jej warg. Patrzył, jak odgarnia za ucho niesforny kosmyk... i nagle zapomniał o swoich postanowieniach. Wsunął rękę pod szlafrok, objął Mattie w talii, gładził po plecach i po piersiach. Marzył o jednym: zaciągnąć ją z powrotem do łóżka. A gdy ją pocałował, pomyślał, że mógłby tak spędzić cały ranek...

Kładąc dłoń na jego piersi, Mattie odsunęła się, po czym z figlarnym uśmiechem cmoknęła go w brodę.

– Muszę wskoczyć pod prysznic.

– Szkoda. – Nie krył rozczarowania. – Przygotować śniadanie?

Przystanąła w progu.

– Nie musisz się spakować?

– To mi zajmie pół minuty.

– Zjedz coś, ale mną się nie przejmuj. Wystarczy mi grzanka.

– Daj znać, gdybyś chciała, żeby ci umyć plecy.

Uśmiechnęła się, ale w jej oczach nie dostrzegł zachęty, i znikła bez słowa. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Zachowywał się jak zakochany sztubak, a nie jak ktoś, kto za kilka godzin na zawsze pożegna się z Mattie.

Nigdy nie lubił ranków, kiedy musiał powiedzieć kobiecie, aby nie robiła sobie żadnych nadziei. Miał kilka nieprzyjemnych sytuacji, kiedy kobieta płakała, nie chciała pozwolić mu odejść. Powinien się cieszyć, że z Mattie sprawa właściwie jest od początku jasna.

I cieszył się. Oczywiście, że się cieszył.

TTLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wycierała włosy, kiedy zadzwonił telefon. Nie mogła się zdecydować, czy użyć szczotki i suszarki, aby osiągnąć efekt podobny do tego, jaki osiągnęła fryzjerka, uznała jednak, że to daremny trud i pośpieszyła do kuchni.

Jake stał ze słuchawką przy uchu. Na widok jej mokrych włosów uśmiechnął się, a jej serce zabiło mocniej. On jest taki przystojny. Miała ochotę rzucić mu się na szyję, ale on dziś wylatuje. Musi panować nad emocjami; nie ma nic gorszego niż kobieta bluszcz.

– Do ciebie – oznajmił.

– Kto?

Podał jej słuchawkę.

– Twoja przyjaciółka Gina.

Mattie wstrzymała oddech. Psiakrew, Gina nie da jej spokoju.

– Cześć, skarbie.

– Cześć, Mattie, jak ci się żyje w pięknym Sydney?

– Świetnie.

– O, nie wątpię – odparła ze śmiechem Gina. – Zwłaszcza mając u boku faceta o tak zmysłowym głosie. Gdzieś ty go znalazła?

– Nie znalazłam. Jake przyleciał na tydzień z Mongolii. Jest przyjacielem Willa.

– Faktycznie! Will wspominał o niejakim Jake'u.

Podobno gość cieszy się szalonym powodzeniem u kobiet. O rany, Mattie, mieszkacie razem?

Mattie obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy Jake słucha. Właśnie skończył smażyć jajecznicę i nakładał ją na grzanekę.

– Willowi pomyliły się terminy, ale wszystko się dobrze ułożyło.

– To mieszkanie razem?

W przeciwieństwie do przyjaciółki, która niemal krzyczała do słuchawki, Mattie starała się mówić jak najciszej.

– Powiedziałam ci już: wszystko się dobrze ułożyło.

Jake mrugnął do niej porozumiewawczo, po czym na migi dał jej znać, że wychodzi ze swoim śniadaniem na balkon. Skinęła z wdzięcznością głową.

– Jest seksowny? – spytała Gina.

– Owszem.

– Seksowny uwodziciel.

– Uwodziciel? Bo ja wiem?

– Zadurzyłaś się!

– Tego bym nie powiedziała.

– Zadurzyłaś! Poznają po twoim głosie. O Chryste, Mattie, straciłaś dla Jake'a głowę, chcesz go poślubić, mieć z nim dzieci i wycofujesz się z bycia matką zastępczą!

– Gina, uspokój się! Nic się nie zmieniło. Nadal zamierzam urodzić tobie i Tomowi dziecko.

– Naprawdę? Jesteś pewna?

– Najzupełniej. Myślisz, że mogłabym zawieść moją najlepszą przyjaciółkę?

– Jake'owi nie będzie przeszkadzała twoja ciąża?

– Nawet się o niej nie dowie. – Mattie zacisnęła mocniej rękę na słuchawce. – Wraca dziś do Mongolii.

– Więc nie mówiłaś mu o naszych planach?

– Oczywiście, że nie. Przecież obiecałam wam, że będę trzymać język za zębami.

Od samego początku Mattie uważała, że powinni być dyskretni. Tom jednak bardzo się denerwował; twierdził, że nikomu nie wolno nic mówić. Bał się, by sprawa nie trafiła na łamy jakiegoś brukowca.

– Niełatwo mieć tajemnicę przed swoim chłopakiem... – powiedziała Gina.

– Skarbie, Jake nie jest moim chłopakiem. Znamy się zaledwie kilka dni.

– Ale... ale coś was łączy, prawda?

Przez chwilę Mattie milczała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wreszcie wzięła głęboki oddech.

– Właściwie sama nie wiem – odrzekła i ku swojemu przerażeniu poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. – Gina, odezwę się jutro, dobrze?

– Ojej, przepraszam, Mattie. Po prostu tak strasznie chcę mieć dziecko... Boże, doprowadziłam cię do płaczu.

– Nie płaczę, słowo. Ale muszę już kończyć. Zadzwoń wkrótce. Albo napisz mejla. Przysięgam.

Mattie odłożyła słuchawkę. Całkiem się rozkleiła! Teraz musi się czym prędzej wziąć w garść. Nie chciała, by Jake zobaczył ją w tym stanie. Podeszła do zlewu, umyła twarz zimną wodą, przetarła ręcznikiem oczy.

Na patelni została porcja jajecznicy, obok leżała grzanka. Mattie przerzuciła jajecznicę na talerz, wzięła nóż, widelec i udała się na balkon. Przez kilka najbliższych godzin musi zachowywać się naturalnie.

Jake przyjrzał się jej uważnie. Chyba nie poznał, że płakała?

– To była Gina, siostra Willa.

Skinął głową. Wciąż nie spuszczał z niej wzroku. Czyżby słyszał, co mówiła do przyjaciółki?

– Gina to moja najbliższa kumpelka.

– Wiem. Domyśliłem się.

Czego jeszcze się domyślił? I dlaczego tak intensywnie się w nią wpatruje? Chyba nic nie wie o jej planach ciąży, bo niby skąd? Intuicyjnie czuła, że byłby bardzo zawiedziony, gdyby odkrył, że zamierza urodzić cudze dziecko. Oczywiście ta sprawa go nie dotyczy. Wyjeżdża na pół roku, a kiedy wróci, nawet nie będzie o niej pamiętał. Jest człowiekiem bez zobowiązań, skaczącym z kwiatka na kwiatek. Podejrzewała, że wcale nie chce się ustatkować.

Mimo to dziwnie się czuła pod wpływem jego świdrującego wzroku. Odkroiła kawałek grzanki, posmarowała ją masłem i jajecznicą, następnie podniosła do ust. W tej samej chwili Jake poderwał się i wytrącił jej pieczywo z ręki.

– Rany boskie! Co robisz?

– Jesteś uczulona na jajka!

– A, o to ci chodzi. – Ucieszyła się; jego groźna mina nie miała związku z rozmową telefoniczną.

Wskazał na jej talerz.

– Kiedy robiłem omlet, powiedziałaś, że masz alergię...

– Na jajka. Wiem. Przepraszam. Skłamałam.

Odetchnął z ulgą.

– Pewnie miałaś dobry powód? – spytał z rozbawieniem.

– Bardzo dobry – przyznała. – Byłeś nieprzyjemny i uparty i postanowiłam odplacić się tym samym.

– Ja? Byłem uparty i nieprzyjemny? Kiedy?

Mattie uświadomiła sobie, że jej początkowa niechęć do Jake'a wynikała stąd, że zachowywał się wobec niej obojętnie. Psiakrew! Nie może mu tego powiedzieć. W jakim by ją to stawiało świetle?

– Nie... nie pamiętam szczegółów – wydukała.

Wzięła do ust kolejny kawałek grzanki, ale nie była w stanie jej przełknąć. Dokładnie pamiętała tamten ranek. Jak to możliwe, aby w tak krótkim czasie tak kompletnie zmienić zdanie o człowieku? Miała nadzieję, że nie zacznie znów płakać. Po zerwanych zaręczynach obiecała sobie, że więcej nie zaufa mężczyźnie; że w żadnym się już nie zakocha. Obiecanki, cacanki.

Wciąż siedziała zatopiona w myślach, kiedy Jake spojrział na zegarek. Ocknęła się.

– Niedługo powinieneś ruszać na lotnisko.

Westchnął.

– Zamówię taksówkę.

– Nie trzeba, zawiozę cię.

– To daleko. I o tej porze bywa duży ruch.

Łzy znów napłynęły jej do oczu.

– Proszę, nie kłóć się ze mną. Chciałabym cię odwiedzić. – Każda chwila z nim wydawała się jej bezcenna.

– Dzięki. – Wstał; sprawiał wrażenie przygnębionego.

– Zostaw – powiedziała, kiedy zaczął zbierać talerze. – Ja się tym zajmę, a ty się spakuj.

– Dobrze.

Drżącymi rękami wstawiała naczynia do zmywarki. Upuściła kubek na podłogę. Stłukł się. Kończyła wrzucać śmieci do kosza, kiedy wrócił Jake z plecakiem przewieszonym przez ramię.

– Masz lekki bagaż – zauważyła, siląc się na beztroski ton.

Uśmiechnął się szeroko.

– Dobra, umyję zęby i wezmę torebkę.

Trwało to dosłownie chwilę. Kiedy weszła z powrotem do kuchni, Jake trzymał Brutusa na ręce i gładził go za uchem. Pies lizał go po brodzie.

– Żegnamy się.

Mattie skinęła głową i przygryzła wargi, by powstrzymać łzy.

– Mam nadzieję, że z Pavarottim też się pożegnałeś.

– Tak. Zaśpiewał mi na pożegnanie arię.

Szybko wyjęła z torebki okulary słoneczne.

– Będę w kontakcie z Royem – powiedziała.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Naprawdę nie musisz... Ale pewnie mnie nie posłuchasz.

– Nie posłucham. I od czasu do czasu z przyjemnością go odwiedzę.

Ruszajmy. – Spoglądając na kluczyki samochodowe, westchnęła cicho.

– Mattie? Wszystko w porządku?

Stanąwszy naprzeciwko niej, Jake zdjął jej z nosa okulary i jęknął na widok jej zaczerwienionych oczu. Próbowwała się uśmiechnąć, ale zdołała jedynie wykrzywić usta... Jake pochylił się i dotknął jej ust. Całowała go, jakby od tego zależało jej życie. Pomogło. Odzyskała spokój. Dzięki temu kilka minut później mogła się skupić na prowadzeniu samochodu.

Kiedy dotarli na lotnisko, oczy miała już całkiem suche. Modliła się, by się znowu nie rozplakać, dopóki Jake nie wsiądzie do samolotu.

– Tu się zatrzymaj – powiedział, wskazując miejsce przeznaczone na dwuminutowy postój.

– Nie chcesz, żebym z tobą weszła?

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie ma sensu. Ścisk, bramki kontrolne, celnicy. Wiesz, jak to jest przy lotach międzynarodowych.

– Nie bardzo. Nigdy nie byłam za granicą.

Pokręcił ze zdziwieniem głową.

– Pewnie jesteś zbyt zajęta opiekowaniem się ludźmi. Nie masz czasu na podróże.

– Może.

Uśmiechnął się.

– To znaczy, że wszystko wciąż przed tobą.

Coś w jego tonie sprawiło, że serce zabiło jej mocniej.

– Masz adres mejlowy w Mongolii? – spytała. – Jak chcesz, mogłabym czasem się odezwać.

– Super. – Wyjął z kieszeni portfel, a z niego wizytówkę. – Trzymaj.

Gdy patrzyła na wydrukowane imię z nazwiskiem, ogarnął ją smutek. Mały biały kartonik – tylko to jej zostanie, gdy Jake zniknie w terminalu. Ale przynajmniej nie zrywają kontaktu.

Po chwili wyjął drugą wizytówkę.

– Zapisz mi swój adres.

– Dobrze.

Jake schował wizytówkę do kieszeni, po czym przytulił Mattie. Wokół trąbiły samochody, gdzieś nad głową przelatywał z hukiem samolot. Mattie zamknęła oczy. Nie zamierzała pozwolić, aby ktokolwiek ją poganiał.

Wreszcie Jake oderwał usta od jej ust i opuszkami palców pogładził ją czule po twarzy.

– Trzymaj się, Mattie.

– Ty też, Jake.

Wskazał na kartonik, który ścisnęła w ręce.

– Miło będzie czasem cię usłyszeć. – Nagle spoważniał. – Wiesz, że nie mogę ci obiecać przyszłości, prawda?

Przeszył ją koszmarny ból, jakby spadła z wysokości i poraniła całe ciało.

– Oczywiście. – Jej głos brzmiał obco i nienaturalnie. – Na nic takiego nie liczyłam.

Kłamała, ale Jake najwyraźniej przyjął jej słowa za dobrą monetę, bo skinął głową i otworzył drzwi.

– Wezmę plecak – rzucił przez ramię.

Po chwili zatrzasnął pokrywę bagażnika. Przystanąwszy na chodniku, uśmiechnął się szeroko i pomachał jej na pożegnanie. Nie dowierzała własnym oczom. Jak on może się uśmiechać? Przed chwilą odebrał jej radość życia! Podniosła rękę i pomachała mu w odpowiedzi. Łzy przesłoniły jej wzrok.

Wielkie szklane drzwi rozsunęły się. Jake obrócił się i zniknął. Wtedy Mattie wybuchnęła płaczem.

Ależ z niej idiotka! Od początku wiedziała, jak to się skończy. Starła się oprzeć urokowi Jake'a, ale... Po prostu był to najbardziej pociągający mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkała. Wczoraj spędzili cudowny poranek, a później, po wyjściu z kina... och, jaka była głupia! Gdyby miała więcej siły, więcej samokontroli! Psiakrew, w niecałe dwadzieścia cztery godziny zakochała się do szaleństwa. W niewłaściwym człowieku.

Po raz kolejny.

Wróciwszy do domu, Mattie rzuciła się w wir pracy. Do wieczora skończyła ilustrację, która wcześniej sprawiała jej tyle kłopotów. Odzyskała dawną wenę. To było tak, jakby potężna siła twórcza wypełniła pustkę po wyjeździe Jake'a.

Tuląc do piersi Brutusa, cofnęła się kilka kroków i przyjrzała dobrej czarownicy, która na tle okna swojej sypialni wydawała się taka mała i samotna. Postać Molly była niezwykle przejmująca. Mattie uśmiechnęła się, zadowolona z końcowego efektu. Wiedziała, że młodzi czytelnicy pokochają

tę drobną dziewczynkę, która w rzeczywistości jest czarownicą obdarzoną tajemną mocą i pomaga wszystkim potrzebującym jej pomocy.

Obym ja też znalazła w sobie taką moc, pomyślała.

Siedział w stołówce na terenie kopalni, zastanawiając się, co Mattie teraz porabia. Oczami wyobraźni widział ją, jak idzie z Brutusem ścieżką ciągnącą się nad zatoką: policzki ma lekko zaczerwienione, włosy powiewają jej na wietrze...

Czasem widział Mattie pochyloną nad brystolem, spokojną, skupioną na pracy. A czasem leżącą nago w łóżku: pamiętał dotyk jej warg, zapach skóry, jedwabistą miękkość włosów, które owijał sobie wokół palców. Słyszał jej dźwięczny głos, widział krople łez na rzęsach...

– Jake? Wróciłeś?

Nalawszy sobie kubek kawy – wolał ją od tradycyjnie parzonej mongolskiej herbaty – Will Carruthers podszedł do stolika Jake'a i uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze cię znów widzieć, stary. Jak tam urlop?

– W porządku – odparł Jake, usiłując oczyścić głowę z myśli o Mattie.

Will zmrużył oczy.

– Jakoś nie słyszę w twoim głosie entuzjazmu.

– Przepraszam. Zamyśliłem się.

– Rozmyślasz o tych hordach pięknych kobiet, które zostawiłeś? – Will ponownie się uśmiechnął. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zmienił taktykę.

– A jak tam moje mieszkanie?

– Superwygodne, ładnie urządzone, w świetnej dzielnicy. Dzięki, że pozwoliłeś mi z niego skorzystać. – Jake wreszcie przypomniał sobie o dobrych manierach. – A, mam dla ciebie drobny upominek z lotniska. Podrzucę go wieczorem do twojego namiotu.

– Czuję, że to butelka mojego ulubionego trunku.

– Butelki. Liczba mnoga. – Jake wbił wzrok w kubek z herbatą. –

Pewnie wiesz, że ktoś jeszcze u ciebie mieszkał?

– W tym czasie co ty? Kto?

– Mattie Carey.

Will wytrzeszczył oczy.

– Nie żartuj!

– Zjawiała się dzień po mnie.

– Mówiła, że przyjedzie do Sydney po piątym. A ty już miałeś być w Japonii. Na nartach.

Jake potrząsnął głową.

– Odwrotnie. Najpierw byłem na nartach, potem poleciałem do Sydney.

– Cholera, wszystko mi się pokreśliło. Przepraszam. – Will przyjrzał się przyjacielowi. – Ale jak? Dogadaliście się z Mattie?

– Tak, to całkiem miła dziewczyna – odrzekł Jake, nie dając nic po sobie poznać. – Bezproblemowa.

– Nie wątpię. – Will roześmiał się cicho. – Święta Matilda.

Jake lekko się zjeżył.

– Tak na nią mówicie?

– Ale z sympatią – zapewnił przyjaciela Will. –Wszyscy uwielbiają Mattie. To najlepsza przyjaciółka mojej siostry; poznały się z Giną w przedszkolu. – Na moment zamilkł. – Przypadkiem ci nie wspomniała, dlaczego przeniosła się do Sydney?

– Nie. Sądziłem, że chce popracować nad książką. – Nagle Jake zauważył napięcie malujące się na twarzy Willa. – A co? Jest jakiś inny powód?

Will pokręcił głową i wypił łyk kawy. Kiedy odstawił kubek, jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– To dlaczego spytałeś, czy znam powód jej przyjazdu do Sydney?

– Tak sobie, z ciekawości.

Jake mu nie uwierzył. Czuł, że Will nie mówi prawdy. Że wie coś na temat Mattie. O co mogło chodzić? Jeśli nie przyjechała pracować nad książką, to jaki miału powód? Z drugiej strony nad książką mogłaby pracować wszędzie, nie musiała w Sydney.

Wrócił myślami do pierwszego dnia. Mówiła, że jest z kimś umówiona. Nagle przeszył go dreszcz.

– Chyba nie przyjechała się leczyć? Nie jest chora?

– Uspokój się, stary. – Will popatrzył na Jake'a, jakby ten postradał zmysły. – Mattie jest zdrowa jak ryba.

– To dlaczego pytałeś, czy znam powód jej przyjazdu do Sydney?

– Ale się uczepliłeś! – Will chwycił kubek i wstał od stołu; sprawiał wrażenie zirytowanego. – Po prostu chciała pomieszkać w Sydney. Wynająłem jej mieszkanie na rok. Cieszę się, że mam tak uczciwego najemcę.

Pięć dni przed planowanym zabiegiem Mattie zaczęła przyjmować zastrzyki z progesteronem. Oprócz codziennej pracy nad książką i codziennych spacerów z Brutusem doszły jej teraz codzienne wizyty w klinice. Wypożyczyła z biblioteki kilka książek na temat ciąży, zaczęła się zdrowo odżywiać. Zamierzała dbać o siebie i dziecko, które przez dziewięć miesięcy będzie nosić.

Nie mogła się doczekać embriotransferu. Teraz, gdy termin się zbliżał, była w codziennym kontakcie mejlowym z Giną. Nawet nie rozmawiały o ciąży, po prostu pisały do siebie o zwykłych sprawach, o Willowbank, co

słysząc u wspólnych znajomych, o tym, jak postępuje praca nad książką dla dzieci...

Na temat Jake'a Mattie nie chciała nic mówić; nie odpowiedziała też na jego list, w którym opisywał podróż powrotną do Mongolii i pierwszy tydzień na miejscu.

Prawdę mówiąc, sama nie bardzo siebie rozumiała. Z jednej strony próbowała pogodzić się z myślą o rozstaniu, z drugiej zaś była zawiedziona, że napisał do niej dopiero po upływie tygodnia.

Sama zaproponowała, że będzie do niego pisać. Teraz tego żałowała. Byłoby znacznie prościej, gdyby pożegnali się na lotnisku i więcej nie mieli z sobą kontaktu.

Raz po raz czytała list, usiłując czegoś się w nim doszukać. Była wściekła. Miesiącami odzyskiwała równowagę po rozstaniu w Pete'em; czy teraz będzie podobnie? Nie chciała powtórki.

Czuła, że powinna odpisać, lecz nie wiedziała co. Poza tym pamiętała ostatnie słowa Jake'a: nie mogę obiecać ci przyszłości. Wszystko w jej życiu ma się teraz zmienić... Nocami zastanawiała się, czy uczucie do Jake'a może w jakikolwiek sposób zagrozić jej planom urodzenia dziecka. Wiedziała, że szansa na wspólną przyszłość była zerowa, ale mimo to... Nigdy by nie przypuszczała, że psycholożka, z którą się konsultowała, mogłaby mieć rację; że ona, Mattie, może poznać ciekawego mężczyznę, zanim dziecko się urodzi.

Gdyby inaczej potoczył się ich los...

Chociaż nie. Na tym etapie życia nie potrzebuje przystojnego playboya; potrzebuje przyjaciela, kogoś godnego zaufania, gotowego dbać o nią oraz dziecko i cierpliwie czekać, aż przekaże maleństwo jego prawowitym rodzicom. Niestety Jake nie spełnia żadnego z jej wymogów. Dla własnego dobra powinna więc jak najszybciej przestać o nim myśleć.

Z ponurą miną wpatrywał się w ekran komputera. Właśnie przejrzał pocztę: wciąż nie miał wiadomości od Mattie. Zerknął na odwrotną stronę wizytówki, gdzie starannym charakterem pisma zapisała mu swój adres mejlowy, i wrócił pamięcią do ich pożegnania. Łzy Mattie, żar jej ostatniego pocałunku. Gotów byłby przysiąc, że Mattie dotrzyma słowa i wkrótce napisze; spodziewał się regularnej wymiany pogodnych listów.

Cóż więc oznacza to milczenie?

Co się zmieniło, odkąd wyjechał z Sydney?

Raz po raz powracało mu na myśl pytanie Willa: Przypadkiem ci nie wspomniała, dlaczego przeniosła się do Sydney? Jake ponownie spytał przyjaciela, o co mu chodziło, ale ten zbył go wzruszeniem ramion.

– Co cię napadło, stary? Wiesz, że ilekroć się widzimy, wypytujesz mnie o Mattie? Przydałby ci się kolejny urlop; jesteś stanowczo zbyt spięty.

Może Will ma rację? Jeszcze nigdy nie czuł się tak zestresowany z powodu kobiety. Zwykle szybko o każdej zapominał. Jak na ironię losu, kiedy w końcu przestał liczyć na to, że Mattie się odezwie, dostał od niej mejla.

Cześć, Jake.

Pozdrowienia ze słonecznego Sydney!

Co u mnie? Zaprosiłam dziś Roya na poranną herbatę. Jedliśmy podłomyki i ciasto biszkoptowe z polewą czekoladową. A na pożegnanie dałam Royowi bukiet eukaliptusowych gałęzi i wazon, żeby miał je gdzie wstawić. Ale się ucieszył!

Aha, znalazłam w antykwariacie książkę o dawnych poganiaczach bydła. Zawierała sporo zdjęć przedstawiających australijskie pustkowia. Roy był nią zachwycony. Prosił, aby Ci przekazać, że jest w znakomitej formie. Trochę przesadza z tą formą, ale w sumie czuje się nieźle. Poza tym niewiele się

dzieje. Dalej tworzę ilustracje do książki. Stolik w salonie ciągle służy mi za miejsce pracy.

Mam nadzieję, że Wasz kanadyjski kucharz dobrze Cię karmi. Nadal mu pomagasz? Może powinienesz zdradzić mu nasz przepis na sos do makaronu? Buziaki od Brutusa i Pavarottiego, Mattie.

Tak bardzo ucieszył się z listu, że nie zważając na swoją urażoną dumę, natychmiast odpisał. Starając się utrzymać list w lekkim tonie, wspomniał o przyjęciu w stołówce, jakie urządzili z okazji urodzin jednego z kolegów, a także o grze w scrabble'a, w której dozwolone były słowa w trzech językach: angielskim, francuskim i rosyjskim. Podziękował za opiekę nad Royem. Przemilczał fakt, że tęskni.

Mattie odezwała się nazajutrz; właściwie zadała tylko jedno pytanie. Czytając je, uśmiechnął się szeroko.

Co oznacza litera R? Masz na drugie imię Robert? Roy ? Rudolph ? Rombo ?

Richard, odpisał. *Po dziadku*. Po czym spytał, jak ona ma na drugie imię.

Francesca, po babci.

Od tej pory kontaktowali się niemal codziennie. Pisali krótkie żartobliwe mejle, nie poruszając żadnych poważniejszych spraw. Jake'owi bardzo to odpowiadało.

Mattie też była zadowolona. Po długim namyśle odpisała w końcu na pierwszy list Jake'a. Uznała, że mogą pozostać na stopie przyjacielskiej, pisać o różnych neutralnych rzeczach.

Tak będzie najlepiej; trzeba puścić w niepamięć tę cudowną noc, jaką spędzili w swoich objęciach.

Kiedy trzymała się lekkich tematów, łatwiej było nie mówić Jake'owi prawdy. Problem w tym, że czuła wyrzuty sumienia. I zżerała ją potworna tęsknota, z którą nie umiała sobie poradzić.

TTLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wykręcając numer Giny, Mattie uśmiechała się promiennie.

– Gina? Udało się!

– To znaczy...

– Mam już wynik. Jest pozytywny.

– Boże! Czyli jesteśmy w ciąży?

– Tak, kochana, zdecydowanie jesteśmy w ciąży! Na drugim końcu linii najpierw rozległ się radosny

pisk, a potem popłynął nieprzerwany potok słów.

– Nie wierzę. O Boże, nie wierzę. Jestem taka szczęśliwa. Mattie, kocham cię. Chyba nigdy nie przestanę płakać. Nie wiem... nie wiem, jak ci dziękować.

– Nie żartuj. Cieszę się, że wszystko poszło po naszej myśli i za dziewięć miesięcy urodzę wasze dziecko.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Odetchnęłam z ulgą. Od paru dni podejrzewałam, że jestem w ciąży, ale lekarz prosił, żeby wam nic nie mówić, dopóki nie nabierze pewności.

– Masz jakieś objawy? Opowiadaj, błagam!

Mattie opowiedziała przyjaciółce o zwiększonej wrażliwości piersi i uczuciu zmęczenia. Na początku bała się, że zmęczenie jest objawem grypy czy jakiejś choroby, ale kiedy zaczęła rano wymiotować, wtedy już nie miała wątpliwości.

– Och, Mattie, jestem taka przejęta! Ale żal mi ciebie, bidulo. Te cholerne nudności...

– Najgorsza jest pierwsza godzina po wstaniu, a potem czuję się całkiem nieźle. I mam idealny pretekst, żeby uciąć sobie popołudniową drzemkę. Najważniejsze, że lekarz jest zadowolony z poziomu hormonów. Jest bardzo, bardzo zadowolony.

– Mattie, czy próbujesz mi coś powiedzieć? – spytała niepewnie Gina.

– Owszem, tylko nie panikuj... Istnieje szansa na więcej niż jedno dziecko.

Gina wydała z siebie ogłuszający krzyk.

– O rany! Bliźniaki! Muszę się rozłączyć! Muszę znaleźć Toma!

Mattie wybuchnęła śmiechem.

– Leć, kochanie. I uściskaj go ode mnie. Odłożywszy słuchawkę, wyciągnęła się na kanapie.

Brutus wskoczył obok i zwinął się w kłębek.

– Dwa maluchy, Brutusie – szepnęła, gładząc jedwabistą sierść. – Będę gruba jak beka.

Usiłowała sobie wyobrazić swój płaski brzuch za osiem miesięcy. Podczas embriotransferu lekarz uprzedził ją, że mnoga ciąża może się wiązać z pewnym ryzykiem. Specjalnie się tym nie przejęła; po prostu chciała, żeby Gina z Tomem mieli pełną rodzinę.

Nagle ogarnął ją strach. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek odzyska figurę. I jak by Jake zareagował, gdyby zobaczył ją spuchniętą, z wielkim brzuchem.

Nie, Jake nie ma tu nic do gadania. Istniał w jej życiu zaledwie przez kilka krótkich dni, natomiast decyzja o dziecku zapadła znacznie wcześniej i dotyczyła wyłącznie trzech osób: jej, Giny i Toma.

Poczuła się straszliwie samotna. Nie bądź egoistką, skarciła się w duchu. Przecież byłaś całkiem szczęśliwa, zanim poznałaś Jake'a. A teraz powinnaś

myśleć pozytywnie, o miłych rzeczach, i skupić się na cudownym darze, jaki od niedawna nosisz w łonie.

Uważała to za prawdziwy zaszczyt, że może podarować przyjacielom dziecko. Gina z Tomem będą fantastycznymi rodzicami; cieszyła się, że pomoże im stworzyć rodzinę, na jaką zasługiwali. Ich dzieci będą dorastać w szczęściu i dobrobycie na rodzinnej farmie, potem pójdą do szkoły w Willowbank, zaprzyjaźnią się z miejscowymi dziećmi.

Mattie miała mnóstwo wspomnień z okresu, kiedy razem z Giną, Tomem, Willem i Lucy chodziła do szkoły. Tworzyli zgraną paczkę. Szkoda, że tak dawno się nie widzieli. Może z okazji chrzcin bliźniaków uda im się spotkać? Byłoby wspaniale!

Hm, byłoby jeszcze wspanialej, gdyby dołączył do nich Jake. Jak zwykle gdy myślała o Jake'u, czuła bolesny ucisk w sercu. Od paru dni nie miała od niego wiadomości – wspominał o zamiarze udania się w głąb kraju – i była zdumiona, jak bardzo za nim tęskni. Cholera! Nie powinna. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, żeby na nic z jego strony nie liczyła. I słusznie: spędzili razem kilka dni, napisali do siebie kilkanaście zabawnych mejli. Trudno ich znajomość nazwać związkami...

Mimo to wyobraziła sobie, jak Jake zaprzyjaźnia się z jej dawną paczką. Z Willem już był zaprzyjaźniony, a z resztą grupy... na pewno by ich polubił, a oni jego.

Przymknęła powieki: zobaczyła, jak ona z Jakiem, zaopatrzeni w dobre wino i ser, jadą krętą drogą przez las sosnowy na farmę Giny i Toma. Tom, ubrany w czarno-biały fartuch, który wkładał, kiedy pomagał Ginie w kuchni, wychodzi przed dom, by się z nimi przywitać. Dziewczynom Jake z miejsca przypada do gustu, mężczyznom podoba się jego poczucie humoru. Wszyscy siadają do kolacji, piją winą, prowadzą ożywioną rozmowę, którą od czasu do

czasu przerywają wybuchy śmiechu. Tak, Jake dobrze by się czuł w tym gronie. Mogłoby być cudownie.

Ale nie będzie, więc wybij to sobie z głowy.

Cześć, Mattie!

Wróciłem po trzech tygodniach. Nie będę Cię zanudzał szczegółami, powiem tylko, że miło znów móc mieszkać w porządnej jurcie, spać na wygodnym łóżku, a nocą palić w piecu.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Wiesz, stęskniłem się za Tobą, Brutusem, Pavarottim i dobrą czarownicą Molly.

Jak się miewasz? Proszę o dokładne informacje! Co porabiasz w ciągu dnia? Jakiego koloru masz obecnie włosy? Jakie ostatnio widziałaś filmy? I rzecz najważniejsza: jakiego koloru masz dziś na sobie bieliznę?

Uśmiechnij się, Jake.

Mattie przeczytała list i zalała się łzami.

Miała za sobą koszmarne dni. Obudziła się z bólem głowy; z powodu ciąży nie mogła brać żadnych środków przeciwbólowych. Jedyne, co mogła zrobić, to położyć się z mokrym kompresem na czole. Wcześniej skropiła mały ręcznik olejkiem lawendowym. Teraz było jej niedobrze od olejku, a ból głowy wciąż nie ustępował.

Z kolei obwód jej pasa gwałtownie się powiększał. Czuła się gruba, brzydka, zmęczona i nieszczęśliwa. A Jake fantazjuje o jej seksownej bieliźnie. Nie wytrzymała, po prostu zaczęła płakać. Brutus zaskamlał i popatrzył na nią zatroskanym wzrokiem.

– Oj, Brutusku – załkała, tuląc kundla do siebie. – Powiedz: co ja mam zrobić?

Wiedziała już ponad wszelką wątpliwość, że urodzi bliźniaki. Podczas badania usg widziała dwie główki, dwie pary rączek i nóżek. Maluchy były

takie urocze! Za to ona... musiała się zaopatrzyć w ciążowe dzinsy. Mało tego, piersi miała tak ciężkie i nabrzmiałe, że kupiła sobie również kilka staników ciążowych. Wyglądały jak ohydna uprząż, w dodatku dostępne były jedynie w kolorach białym, czarnym i beżowym. Czyli była brzydka, gruba i czuła się jak starzejąca się matrona.

A Jake'owi wydawało się, że koresponduje ze zgrabną dziewczyną, która nosi koronkowe biustonosze i figi w różnych kolorach tęczy; z dziewczyną, której jedynym zobowiązaniem jest dotrzymanie terminu oddania książki.

Jest oszustką, kłamczuchą, hipokrytką!

Westchnąwszy cicho, zestawiała Brutusa na podłogę i zaczęła przemierzać salon tam i z powrotem. Pies dreptał za nią. Co robić? – zastanawiała się nerwowo. Czy odpisać Jake'owi? Milczeć? Dalej go okłamywać?

Nie, kłamać nie mogła. Może najlepiej przestać się odzywać? Niech Jake pomyśli, że znudziła jej się korespondencja albo że straciła nim zainteresowanie.

Nie chciała sprawiać mu przykrości. Ale czy ma wyjście? Łzy ponownie popłynęły jej z oczu. Sięgnęła po chusteczkę i otarła twarz. Ból głowy utrudniał logiczne myślenie. Poszła do kuchni i zrobiła herbatę rumiankową, z którą wróciła do salonu. Usiadłszy na kanapie, próbowała się skupić.

Jest w ciąży i nie może powiedzieć o tym Jake'owi.

Dlaczego? Bo to jej prywatna sprawa, a on ostrzegł ją, żeby nie liczyła na wspólną przyszłość.

Może jednak zmienił zdanie? Przez te kilka dni, kiedy byli razem, wydawał się dość zaangażowany.

Nawet jeśli tak, jej ciąża skutecznie ostudzi jego zapędy. Jake to kobieciarz. Nie będzie chciał mieć do czynienia z ciężarną kobietą, która w

dotatku urodzi cudze dzieci. Westchnęła. Bycie surogatką to skomplikowana sprawa. Jake nigdy nie zrozumie, dlaczego zdecydowała się na tak radykalny krok.

Niepokój, bezradność, miłość bez wzajemności... już raz to przerabiała. Nie chce powtórki!

Więc dlaczego się waha, skoro zna odpowiedź? Istnieje tylko jedno sensowne rozwiązanie.

Powinna zakończyć korespondencję z Jakiem. Powinna o nim zapomnieć.

Tak byłoby uczciwie. Znając jego charakter i wiedząc, jak łatwo rozstał się z Ange, podejrzewała, że zbytnio by nie cierpiał. Ludzie czasem przestają do siebie pisać. Świat jest pełen kobiet i mężczyzn zranionych w miłości.

Jake wyłączył komputer, nalał sobie kieliszek wódki i wypił go jednym haustem. Nalał drugi i też go wypił, następnie podszedł do małego okienka i popatrzył na sąsiednie jurty. W większości paliło się światło, ale nie miał ochoty na towarzystwo.

Nie było w tym nic szczególnie dziwnego. Zawsze był samotnikiem, który już w dzieciństwie nauczył się obywać bez innych. Ale istnieje różnica między byciem samemu a byciem samotnym. Kiedy dziś spoglądał na rozgwieżdżone niebo, odżyło w nim niemal zapomniane poczucie osamotnienia, jakie towarzyszyło mu w dzieciństwie. Pamiętał te dni, tygodnie i miesiące po załamaniu nerwowym matki, kiedy w milczeniu krążyła po domu, nie odzywając się do przerażonego syna.

Wzdrygnął się, próbując odsunąć od siebie bolesne obrazy. Wtedy, jako dziewięcioletek, nie potrafił pojąć, dlaczego ukochana matka go odtrąca. Zrozumiał jednak, że miłość wiąże się z cierpieniem. Wiele kobiet oskarżało go o emocjonalne bankructwo, o chłód, wyrachowanie, niechęć do

okazywania uczuć. Wiedział, że mają rację, ale nauczony smutnym doświadczeniem wolał przed nikim się nie otwierać. Dlatego powiedział Mattie, że nie może jej niczego obiecać, by nie liczyła na wspólną przyszłość.

Dlaczego jednak jej milczenie wywołuje w nim taki niepokój? Nie odzywała się ponad miesiąc. Wysłał jej trzy mejle, na które nie odpisała. Denerwował się brakiem odpowiedzi; koniecznie chciał wiedzieć, co się z nią dzieje. Will Carruthers nie potrafił udzielić mu żadnych informacji. W końcu Jake uznał, że ma jedno wyjście: musi zadzwonić do Sydney, usłyszeć jej głos, sprawdzić, czy Mattie chociaż jest zdrowa.

Wystukując numer, był tak zdenerwowany, że się spocił. Czuł się jak nastolatek, który usiłuje zebrać się na odwagę, by zaprosić koleżankę na randkę. Kiedy Mattie odebrała telefon, miał sucho w ustach.

– Cześć, Mattie – wychrypiał z trudem.

– Jake? To ty?

– Tak. Jak się miewasz?

– Nadal jesteś w Mongolii?

Odniósł wrażenie, że w jej głosie pobrzmiwa zdumienie i strach. Co mogło się wydarzyć?

– Tak, wciąż tu jestem. – Urwał. Nie wiedział, co powiedzieć. W mejlach żartowali, droczyli się, a teraz... – Dawno nie miałem od ciebie wiadomości, więc postanowiłem sprawdzić, co się dzieje. Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście – odparła, siląc się na pogodny ton. – Po prostu byłam strasznie zapracowana.

Jake zazgrzytał zębami. Co mu strzeliło do głowy, by dzwonić? To był kretyński pomysł. Czy po jednej nocy ma prawo o cokolwiek wypytywać Mattie, domagać się wyjaśnień?

– Powiedz, jak się miewasz? – Był spięty; nie potrafił się odprężyć.

– Dobrze. Słowo honoru.

– Bo wydajesz się trochę... – zaczął szukać właściwego słowa.

– Jestem zmęczona, to wszystko. Wzięłam dodatkową pracę... no i zasuwam.

– A chociaż sprawia ci satysfakcję ta dodatkowa praca?

Na drugim końcu linii usłyszał westchnienie.

– Tak, Jake. Ogromną.

Z jej tonu wyczytał: zmieńmy temat. Żałował, że jej nie widzi. Gdyby mógł spojrzeć w jej oczy, może zobaczyłby, co Mattie ukrywa. Wtedy wiedziałby, czy jest szczęśliwa, czy coś ją dręczy.

– Utrzymuję regularny kontakt z Royem – dodała po chwili. – Nie miałam ostatnio czasu, żeby pojechać do niego, ale dzwonię raz w tygodniu. Czuje się dobrze.

– To znakomicie. Dzięki, że się o niego troszczysz.

– A co u Willa?

– Wyjechał na urlop do Kalifornii. Myślę, że ani trochę nie tęskni za Mongolią.

– Wcale mu się nie dziwię. Też powinienś spędzić swój następny urlop w słonecznej Kalifornii.

Jake zamarł z ręką na słuchawce. Mattie wyraźnie daje mu do zrozumienia, że nie czeka na niego i nie liczy na żaden dalszy ciąg. Okej, może sam się do tego przyczynił, kiedy zegnali się na lotnisku. Niepotrzebnie mówił pewne rzeczy. Ale teraz wszystko się zmieniło. Tęsknił za nią. Tak łatwo nie zamierzał z niej rezygnować.

Przełykając dumę, spytał:

– Jak byś zareagowała, gdybym przyjechał? Nastąpiła cisza. Jake wstrzymał oddech.

– Ja... ja... – dukała zdenerwowana Mattie. – Masz zamiar wrócić do Sydney?

– Nie dziś i nie jutro, ale... Będziesz tam jeszcze za miesiąc lub dwa?

Znów zapadła cisza. Jake czekał w napięciu.

– Jake, obawiam się, że przez kilka najbliższych miesięcy będę bardzo, bardzo zajęta.

Bardzo, bardzo zajęta? Zdławił przekleństwo. Mattie nie chce mieć z nim nic wspólnego.

– Czyli wolałabyś się ze mną nie widzieć?

– To... to może być zbyt trudne – odparła szeptem. Głos się jej załamał.

Cholera, co się stało? Przypomniał sobie łzy Mattie, kiedy zegnali się na lotnisku. Wtedy myślał samolubnie, że oznaczają żal z powodu rozstania, ale może płakała z innego powodu? Może czegoś mu nie powiedziała?

Jedno nie ulega wątpliwości: przez telefon nie uzyska żadnych satysfakcjonujących odpowiedzi.

– No dobra. Dzięki za wyjaśnienia.

– Żegnaj, Jake.

Rozłączyła się. W jednej sekundzie była, a w następnej znikła z jego życia. Stał bez ruchu, oszołomiony, nie wiedząc, co począć. Miał bowiem silne przeczucie, że Mattie wcale nie chce kończyć znajomości. A może to jego rozbuchane ego nie chce w to uwierzyć?

Z rozmarzonym uśmiechem na twarzy Gina wypila łyk kawy z mlekiem i westchnęła błogo.

– Syn i córka, czy może być lepiej? Wciąż mam ochotę płakać ze szczęścia.

Mattie objęła przyjaciółkę. Cieszyła się, że podczas dzisiejszego badania usg towarzyszyła jej Gina z Tomem. Ich bezbrzeżna radość sprawiła, że wszystko inne przestało się liczyć. Nieważny był ból głowy, zgaga, zmęczenie. Wiedziała, że szczęśliwe twarze przyszłych rodziców oraz czarno-białe zdjęcia ich maleńkich dzieci pozwolą jej zapomnieć o Jake'u Devlinie.

Słusznie postąpiła, nie wdając się z nim w dłuższą rozmowę telefoniczną. Mówiła krótko, do rzeczy, potem pożegnała się i odłożyła słuchawkę. To najrozsądniejsze wyjście. Skoro narzeczony stracił nią zainteresowanie, kiedy była młodsza, ładniejsza i nie miała sterczącego brzucha, czy mogłaby oczekiwać, że taki przystojniak jak Jake będzie teraz patrzył na nią z zachwytem?

Jake wrócił do Sydney w zimny pochmurny dzień. Wsiadłszy z taksówki, skulił się: wiatr przenikał go do szpiku kości, deszcz bił po twarzy. Mało przyjemne powitanie, ale innego się nie spodziewał.

Podczas nocnego lotu nie zmrużył oka. Po wylądowaniu pojechał prosto do hotelu, wziął prysznic, przebrał się i zszedł na dół, by odebrać samochód, który wcześniej zarezerwował. Opuściwszy parking, włączył się w ruch uliczny. Wycieraczki ledwo nadążały usuwać wodę z szyby.

Przez chwilę czuł się zdezorientowany, jakby się znalazł w kompletnie obcym świecie. Nic dziwnego; w porównaniu z księżycowym krajobrazem mongolskiej pustyni ruchliwe centrum Sydney przyprawiało o zawrót głowy. Zamrugał kilka razy, usiłując rozeznać się w swoim położeniu, zmienił pas i na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w prawo. Zamierzał udać się do domu opieki, by odwiedzić Roya, ale nagle zauważył, że jedzie w złym kierunku.

Zwolnił, szukając miejsca, by bezpiecznie zawrócić, gdy rozpoznał sklep ze sprzętem turystycznym, w którym razem z Mattie kupili rondelkę i kuchenkę gazową.

Czyli ta droga prowadzi do domu Willa.

Do mieszkania, które zajmuje Mattie.

Serce zabiło mu mocniej. Spokojnie, nie denerwuj się, powiedział sobie. Skoro już tu był, pojedzie kawałek dalej. Jeżeli zobaczy przed domem samochód Mattie, wtedy zatrzyma się, zapuka do drzwi, porozmawia. Powinni się spotkać, chociaż raz. Może sam siebie oszukiwał, ale musi poznać prawdę. A to było możliwe jedynie w trakcie rozmowy w cztery oczy.

Kiedy zadzwonił do niej z Mongolii, Mattie wspomniała, że z powodu nadmiaru zajęć nie odwiedza Roya, tylko telefonuje do niego raz w tygodniu. Wydało się to Jake'owi podejrzane. Takie zachowanie do niej nie pasuje. Intuicja podpowiadała mu, że Mattie ma jakieś kłopoty. Wiedział, że ryzykuje, że na jego widok Mattie wpadnie w złość, ale musi odkryć, co ją gnębi.

Pracowała przy oknie w salonie. Słuchając rytmicznego bębnienia deszczu, robiła szkic do kolejnej ilustracji.

Książka była prawie skończona. Mattie zależało, by wysłać wszystko do wydawcy najdalej za dwa lub trzy tygodnie, zanim ciąża pozbawi ją resztek energii.

Siedziała skupiona, usiłując przekazać ledwo skrywane podniecenie na twarzy małej Molly, kiedy jakiś hałas z ulicy przykuł jej uwagę. Wyjrawszy przez okno, zobaczyła, jak przed domem zatrzymuje się sportowy czarny samochód.

Nikogo się nie spodziewała, więc wróciła do pracy. Po chwili jednak usłyszała, jak drzwi auta się zatraskują, a Brutus zaczyna ujadać.

– Cicho, Brutusku! – Marszcząc czoło, ponownie zerknęła na ulicę. Pies czekał wyłącznie na ludzi, których znał i lubił. Na obcych albo wcale nie reagował, albo warczał cicho.

Mattie patrzyła zaintrygowana na wysokiego mężczyznę w czarnej nieprzemakalnej kurtce i dżinsach, który zbliżał się do budynku. Podziwiała jego szerokie ramiona, gęste ciemne włosy...

O Boże! Nie, to niemożliwe! – jęknęła w duchu. To nie może być Jake! Ołówek wysunął się jej z palców. Po chwili poczuła bolesny ucisk w piersi.

Nie miała już wątpliwości. To na pewno Jake. Pchnął furtkę i kuląc się przed deszczem, ruszył biegiem ścieżką prowadzącą do drzwi.

Nie rozmawiali od czasu, gdy zadzwonił do niej z Mongolii. Nie spodziewała się, że przyjedzie. Instynktownie objęła się w pasie. Jedno z bliźniaków zaczęło kopać, po chwili dołączyło drugie. Zupełnie jakby założyły się, które mocniej kopnie mamę.

Kiedy rozległo się pukanie, Brutus z radosnym jazgotem rzucił się do drzwi. Mattie usiłowała wstać, ale nogi miała jak z waty. Bała się, że nie utrzymają ciężaru jej ciała. Zresztą co sobie Jake pomyśli, kiedy ją zobaczy?

Pukanie powtórzyło się.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wiedział, że Mattie jest w domu. Nie tylko samochód stał w garażu, ale dostrzegł w oknie jej zasepioną twarz. A jednak nie otwierała drzwi.

No, pięknie. Czyli nie chce go widzieć.

Podrapał się po brodzie. Był uparty, zastukał ponownie. Usłyszał, jak Brutus szczeka i drapie w drzwi. Przynajmniej pies cieszył się z jego wizyty.

Drzwi jednak wciąż pozostawały zamknięte. Nie powinien był przyjeżdżać. Ogarnęła go złość na samego siebie. Głupio się zachował. Przecież Mattie jasno dała mu do zrozumienia, że nie chce kontynuować znajomości.

Zgrzytając zębami, zacisnął dłonie w pięści i obrócił się plecami do drzwi. Nie zamierzał pukać po raz trzeci. Duma mu na to nie pozwalała. Wiedział, że nie ma wyboru, musi pogodzić się z sytuacją. Nie rozumiał, jak się w to wszystko wplątał.

Od samochodu dzieliło go kilka metrów. Postąpił krok do przodu, szykując się do biegu przez deszcz, kiedy nagle drzwi się otworzyły. Brutus wyskoczył na ganek, wesołym ujadaniem witając swojego dwunożnego przyjaciela.

– Siad, Brutus. Siad, piesku.

Jake poderwał głowę. Na widok Mattie serce zaczęło mu bić jak szalone. Nakazawszy Brutusowi, by się uspokoił, kucnęła, pogłaskała psa, po czym wyprostowała się. Miała na sobie obszerną czerwoną tunikę, czarne legginsy, czarne buty do kostek. Właśnie taką ją Jake zapamiętał.

Była nawet ładniejsza, niż ją zapamiętał. Promieniała błogością. Nagle Jake' a przeniknął chłód. Nie. To niemożliwe. Niemożliwe, żeby Mattie...

– Cześć, Jake.

Nie potrafił oderwać oczu od jej wyraźnie zaokrąglonego brzucha. Kiedy przestała do niego pisać, zastanawiał się, co takiego mogło się wydarzyć. Nie przyszło mu do głowy, że zaszła w ciążę.

Kto jest ojcem? On? Był oszołomiony.

– Dla...dlaczego? Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

Potrząsnęła głową.

– Przepraszam. Nie mogłam.

Nie mogła? Nic z tego nie rozumiał.

– Dlaczego nie mogłaś?

Przytknęła drżącą dłoń do ust; była bliska płaczu.

– Masz męża?

– Oczywiście, że nie.

– Ale to ciąża, prawda? Nie jesteś chora?

– Tak, ciąża. Nic mi nie dolega. Czuję się dobrze.

– Okej. – Podniósł rękę, jakby chciał rozluźnić węzeł u szyi, po czym zdał sobie sprawę, że nie włożył krawata. – Przechodzimy do następnego pytania. Czy to moje?

Zdziwiło go własne podniecenie. Nigdy nie miał zamiaru zostać ojcem, zabezpieczał siebie i partnerki przed niechcianą ciążą. Ale wiadomo, wypadki się zdarzają. Mattie byłaby najlepszą matką na świecie...

Znów potrząsnęła głową.

– Nie denerwuj się, Jake. Nie będziesz ojcem.

Poczuł się tak, jakby go spoliczkowała. Nie będzie ojcem. To znaczy, że Mattie ma kochanka.

Zdruzgotany spuścił wzrok. Po chwili wziął głęboki oddech i popatrzył na mokry podjazd.

Tysiące pytań krążyło mu po głowie. Jeżeli nie on jest ojcem, to kto? Kiedy Mattie zaszła w ciążę? Zanim się z nią kochał? Po jego wyjeździe? Psiakrew! Może go okłamywała? Skąd mógł mieć pewność, że to nie jego dziecko? Odpowiedź dałoby badanie DNA...

– Nie spodziewałam się twojej wizyty, Jake – rzęda i obronnym ruchem objęła się w pasie. – Wiem, że to dla ciebie szok. Przepraszam. – Westchnęła cicho. – To skomplikowane...

– Skomplikowane, powiadasz?

– Bardzo skomplikowane. – Przygryzła wargę.

Zanim zdążył wymyślić ciętą ripostę, rumieniec na policzkach Mattie zbladł. Z posępną miną się cofnęła.

– Wejdz. Należy ci się wyjaśnienie. Chodź, proszę cię – powiedziała, kiedy nawet nie drgnął.

W głębi duszy liczył na to, że spędzi urlop z tą kobietą. Popęłnił błąd. Nigdy dotąd nie wchodził dwa razy do tej samej rzeki. Powinien teraz zażywać uciech w Paryżu albo szaleć na nartach w Górach Śnieżnych. A on przyleciał do Sydney, do Mattie.

Ogarnięty złym przecuciem wszedł do mieszkania, powiesił kurtkę na wieszaku i ruszył za Mattie do salonu. Nagle coś go tknęło. Mieszkanie jest własnością Willa. Czyżby on był ojcem...?

Nie, raczej niemożliwe. Z drugiej strony wił się jak piskorz, gdy Jake wypytywał go o Mattie.

Chyba by mu o tym powiedzieli? Wzdrygnął się. Powoli narastało w nim poczucie osamotnienia i straty, które tak dobrze pamiętał z dzieciństwa. Szybko odpędził od siebie złe myśli.

– Usiądź, Jake.

Mattie wskazała skórzaną kanapę po lewej stronie stolika. Nieopodal stał drugi stolik pełen przyborów malarskich. Jake pamiętał, jak siedziała po turecku na podłodze, pracując nad ilustracjami. Przypuszczalnie teraz brzuch jej przeszkadzał.

– Masz ochotę na herbatę lub kawę? – zapytała. Potrząsnął głową. Jedynie na prawdę, odparł w myślach.

Wzdychając cicho, Mattie zajęła miejsce naprzeciwko niego. Dawna Mattie usiadłaby przy nim, na tej samej kanapie; i może się przytuliła.

Popatrzyła na swoje ręce. On również skierował na nie wzrok. Paznokcie miała pomalowane na jaskrawo-czerwony kolor, który idealnie współgrał z tuniką. Jake przełknął ślinę; miał uczucie, jakby przełykał garść kamieni.

– Przykro mi, że w ten sposób się dowiadujesz – powiedziała. – Wiem, jaki to dla ciebie szok.

Zamiast zasypać ją gradem pytań, które cisnęły mu się na usta, uśmiechnął się cierpko, wyciągnął nogi, skrzyżował je w kostkach.

Mattie nie mogła oderwać od niego oczu. Ubrany był w jasny wełniany sweter i džinsy. Popołudniowy zarost ocieniał mu twarz. Włosy miał mokre. Przypomniała sobie, że kiedy pierwszy raz zobaczyła Jake'a, skojarzył się jej z piratem.

Korciło ją, by przesiąść się na drugą kanapę, przytulić, położyć głowę na jego ramieniu, poczuć zapach jego skóry, dotyk jego warg na ustach. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, może hormony zwiększyły jej libido, ale marzyła o tym, by zerwać z Jake'a ubranie, gładzić jego ciało. Chciała, żeby pragnął jej tak jak tamtej nocy, którą razem spędzili. Nie mogła jednak spełnić swych marzeń.

Jake patrzył na nią zimnym wzrokiem. Szerokość stolika dzieliła obie kanapy, ale Mattie miała wrażenie, jakby stali na dwóch przeciwległych krańcach Wielkiego Kanionu.

– Dlatego byłaś taka zajęta? – spytał Jake, zatrzymując spojrzenie na jej brzuchu. – To jest twój nowy projekt?

Drżącymi palcami wygładziła brzeg tuniki.

– Prawdę mówiąc, częściej bywam zmęczona niż zajęta.

– Utrzymywałaś ciążę w tajemnicy. Dlaczego?

– Nie miałam wyboru. Chciałam ci o niej powiedzieć, ale obiecałam, że nikomu nic nie będę mówić – Zanim zdążył otworzyć usta i zadać następne pytanie ciągnęła pośpiesznie: – Pewnie mogłam poprosić osoby zainteresowane, aby pozwoliły mi wszystko ci wyjaśnić, bałam się jednak, że i tak byś nie zrozumiał.

– Mam dyplom z nauk biologicznych. I mniej więcej orientuję się, jak kobieta zachodzi w ciążę.

– To jest wyjątkowo delikatna sytuacja – szepnęła Mattie, ignorując jego sarkazm.

Ze zdziwieniem zobaczyła, jak opalona twarz Jake'a przybiera odcień bieli.

– Błagam, powiedz, że to nie jest dziecko Willa.

– Willa? Skąd taki pomysł?

– Nie wiem, wszystko wydaje mi się możliwe – odparł Jake, którego skóra odzyskała normalny kolor. – Sądzę, że ta cała tajemnica ma na celu ukrycie tożsamości ojca?

Mattie skinęła głową.

– Oraz matki.

– Słucham?

Poklepała się po brzuchu.

– Jestem matką zastępczą.

Jake zmarszczył brwi. Otworzył usta, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa.

Mattie była zdana na siebie. Nie mogąc wytrzymać przedłużającej się ciszy, skoczyła na głęboką wodę.

– U mojej przyjaciółki Giny, siostry Willa, wykryto endometriozę. Stan był tak poważny, że lekarze zalecili histerektomię, czyli usunięcie macicy. To był dla niej straszny cios. Ona i jej mąż Tom, który jest najcudowniejszym facetem pod słońcem, marzyli o dużej rodzinie...

– Mogli adoptować dziecko – wtrącił Jake.

– Owszem, rozważali adopcję.

– Lecz ty wpadłaś na inny pomysł?

Mattie westchnęła ciężko. Dokładniej takiej spodziewała się reakcji. Totalnego braku zrozumienia. Patrząc w sufit, przez moment szukała właściwych słów.

– Uważam to rozwiązanie za znacznie lepsze. Z komórek jajowych Giny i nasienia Toma uzyskano zarodki...

– Które umieszczono w twoim brzuchu?

– Zgadza się.

Wiedziała, że Jake nigdy nie zrozumie jej motywacji. Uważa ją za osobę, która ma nie po kolei w głowie.

– Kiedy to się stało? – spytał znużonym tonem.

– Po twoim powrocie do Mongolii.

– Ale wszystko miałaś zaplanowane wcześniej? Kiedy kochałaś się ze mną, wiedziałaś, co wkrótce nastąpi?

– Tak. – Uniosła głowę. – Nie pojmuję twojego oburzenia, Jake. Bądź co bądź moja ciąża cię nie dotyczy.

– Czyżby? – spytał chłodno.

– Dobrze wiesz, że nie wiązałeś ze mną swojej przyszłości.

Zacisnął mocno zęby.

– Nie można zjeść ciastka i go mieć, Jake. Prowadzisz beztroskie życie, bez zobowiązań, a jednocześnie złościsz się, że ja chcę podarować swoim przyjacielom cudowny prezent w postaci dwójki maluchów.

Tym razem, gdy otworzył usta, długo nie potrafił ich zamknąć.

– Dwójki maluchów? – wydukał wreszcie.

– Tak. Noszę w sobie bliźniaki, chłopca i dziewczynkę.

Poderwał się na równe nogi. Przeczesał ręką włosy, ponownie utkwiał wzrok w brzuchu Mattie.

– Jak mogłaś zdobyć się na tak wielkie poświęcenie?

– Już ci mówiłam. Chciałam pomóc Ginie i Tomowi.

– Jasne. – Wyszczrzył zęby w drapieżnym uśmiechu. – Święta Matilda.

Poczuła się tak, jakby ją uderzył.

– Rozmawiałaś o mnie z Willem...

Wzruszył ramionami.

– Rozmawiałaś. Przyznaj się.

– Musiałem mu powiedzieć, że cię poznałem. Razem mieszkaliśmy w jego domu.

– A on ci zdradził, że nazywa mnie świętą Matildą?

– To do ciebie pasuje – mruknął Jake.

Wsunął ręce do kieszeni i popatrzył przez okno na zacinający deszcz. Mattie dygotała z wściekłości. Czy Will też uważał ją za wariatkę? Chyba nie, przecież jest bratem Giny.

– Wiedziałam, że tego nie zrozumiesz – szepnęła.

– Masz rację. – Odwrócił się do niej twarzą. – Nie rozumiem. Naprawdę nie rozumiem. – Zaczął przemierzać pokój. – Wiem, że lubisz pomagać ludziom. Stajesz na głowie, żeby wszystkim wokół było dobrze, ale tym razem posunęłaś się za daleko. Jesteś młoda, niezamężna, powinnaś żyć pełnią życia. Nigdy nie byłaś za granicą. Powinnaś wybrać się w jakieś piękne miejsce, pozwiedzać muzea, zabytki, a ty wolisz zostać inkubatorem. To szczyt głupoty!

– Inkubatorem? Jak śmiesz? A w ogóle gdybyś znał Ginę i Toma, nie uważałbyś, że postępuję głupio.

Gdy w odpowiedzi wzruszył ramionami, ogarnęła ją złość. Dlaczego nie potrafił zrozumieć jej pobudek?

– To jest moje ciało, moje życie, moja decyzja. Jestem zdrowa, nic mi nie grozi. Nie potrzebuję twojej zgody. Zresztą byłeś na drugim końcu świata. – Zaciśnęła pięści. – I sam mnie uprzedzałeś, abym na nic nie liczyła.

Zobaczyła, jak Jake zastyga w bezruchu. W jego oczach malował się dziwny wyraz. Co to było? Strach? Zakłopotanie? Zawód? Smutek? Czułość? Mieszanka wszystkiego?

Stał przygarbiony, z rękami w kieszeniach, ze spuszczoną głową. Czyżby źle go oceniła?

Czyżby mu na niej naprawdę zależało?

Co powinna zrobić? Czy już jest za późno? Czy zdoła znaleźć w sobie dość odwagi, aby przeskoczyć przepaść, jaka ich dzieli? Czy powinna mu wyznać, że ich wspólna noc była najpiękniejszą nocą w jej życiu?

Była jeszcze jedna rzecz, której prawie nie dopuszczała do swoich myśli. Że gdyby Jake nie wyjechał do Mongolii, to kto wie, może zmieniłaby swoje plany.

Miała potworny mętlik w głowie. Po raz pierwszy w życiu nie umiała odróżnić tego, co dobre, od tego, co złe; tego, co słuszne, od tego, co krzywdzące. Dotychczas zawsze wiedziała, kiedy postępuje właściwie, teraz jednak dręczyły ją wątpliwości.

Wpatrując się w sztywne plecy i zacięty profil Jake'a, pragnęła zarzucić mu ręce na szyję, przytulić się do niego, szepnąć na ucho, jakim jest wspaniałym mężczyzną. Ale czy on by tego chciał? Nie była pewna.

Wciąż usiłowała rozstrzygnąć tę kwestię, kiedy odwrócił się do niej przodem.

– Cieszę się, że przyjechałem – rzekł bezbarwnym tonem. –
Przynajmniej prawda wyszła na jaw.

Powinna była lepiej to rozegrać. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

– Ja... Przepraszam, Jake – powiedziała, ale zabrzmiało to jakoś miałko.

Potrząsnął głową i skierował się ku drzwiom. Mattie poderwała się z kanapy i skrzywiła, gdy jedno z dzieci zaprotestowało kopnięciem.

– Musisz już iść?

– Tak jak powiedziałaś: to jest twoje ciało i twoje życie.

Brutus zaskamlał. Schyliwszy się, Jake podrapał psa za uchem. Mattie poczuła ukłucie zazdrości: może gdyby ona pojęczała, też by ją pogłaskał?

Był już w holu, wyciągał rękę do klamki.

– Nie... nie opowiedziałam ci o Royu – szepnęła, chwytając się ostatniej deski ratunku. – A ty mi o Mongolii.

– Daj spokój. Nie interesuje cię Mongolia.

– Interesuje. A ty o Royu nie chcesz posłuchać?

– Odwiedzę go i zobaczę, jak się miewa.

Pchnął drzwi. Przeraziła się, że na zawsze zniknie z jej życia. Na drżących nogach postąpiła w jego stronę.

– Gniewasz się, prawda? Jesteś na mnie zły?

Nie odpowiedział. Bez słowa wyszedł na dwór i stanowczym ruchem zamknął za sobą drzwi.

Mattie skuliła się na kanapie i zalała łzami. Zużyła niemal całą paczkę chusteczek, mimo to potworny ból nie ustępował. Widok Jake'a uzmysłowił jej, co straciła.

Nigdy nie знаła kogoś takiego jak on; być może nigdy już nie pozna. Pozwoliła mu odejść, na zawsze zniknąć z jej życia. Patrząc, jak drzwi się za nim zamykają, miała wrażenie, że za moment umrze z rozpaczy. Minęło wiele godzin, zanim była w stanie myśleć logicznie.

Oczywiście jej rozstanie z Jakiem w niczym nie przypominało rozstania z Pete'em. Z Jakiem nie była zaręczona. Znali się krótko, niecały tydzień. Niczego sobie nie obiecywali, żadnej miłości aż po grób. Jake nigdy jej nie okłamywał; wiedziała, że ceni wolność, brak zobowiązań, kawalerskie życie.

Do diabła, nie powinna płakać z jego powodu. A jeżeli już wylewa łzy, powinny to być łzy gniewu, nie żalu i rozpaczy. Chwyciwszy kolejną garść chustek, przestała rozczulać się nad sobą. Och, ma wiele powodów, żeby być na niego zła.

Po pierwsze, jakim prawem przyjeżdża bez zapowiedzi i wścieka się, że z powodu jej ciąży nie mogą wznowić romansu? Po drugie, jakim prawem krytykuje ją za jej szlachetność i dobre serce? Przecież nikogo nie zabiła, nie okradła; przeciwnie, pragnęła jedynie uszczęśliwić Ginę i Toma. Po trzecie, nie potrafił zrozumieć jej postępowania, bo sam jest egoistą. Po czwarte, nie umiał okazać jej krzty sympatii i zrozumienia, jakie okazywał choćby Royowi.

Słowem, Jake Devlin to nadęty samolubny palant; dobrze, że nie musi go więcej oglądać. Ale... jest taki przystojny. Wszystko w nim uwielbiała: lśniąca oczy, ironiczny uśmiech, elektryzujący dotyk, to, jak całował...

Dlaczego przyjechał, dlaczego nie mógł zostać w Mongolii?

Jake cisnął kurtkę na siedzenie auta i zatrzaskał z hukiem tylne drzwi. Przeklinając pod nosem, zajął miejsce za kierownicą i z jeszcze większą siłą zatrzaskał przednie drzwi. Wcisnąwszy pedał gazu, ruszył z piskiem opon. Zmniejszył szybkość, kiedy zobaczył wystraszoną twarz przechodnia.

Skręcił w najbliższą ulicę; kilkanaście metrów dalej zauważył parking. Zatrzymał się. Oddychał ciężko, serce waliło mu jak młotem. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był tak wściekły. I tak przerażony.

Nieprawda. Dobrze pamiętał. To było tej koszmarnej nocy, kiedy urodził się jego brat.

Siedział w samochodzie zlany zimnym potem. Nie potrafił powstrzymać fali wspomnień. Miał dziewięć lat i nie posiadał się ze szczęścia; tak długo błagał rodziców o brata lub siostrę i wreszcie dowiedział się, że jego życzenie wkrótce się spełni. Przejęty obserwował przygotowania: rodzice pomalowali pokój dla malucha, ojciec przyniósł z piwnicy dziecięce mebelki, mama kupiła mnóstwo maleńkich ubranek.

Jake własnoręcznie zrobił dla braciszka lub siostrzyczki grzechotkę: wypełnił plastikową butelkę ziarnem i pomalował w barwne paski. Był strasznie z siebie dumny.

Wyobrażał sobie, jak dzidzius potrząsa grzechotką i ze śmiechem rzuca nią o podłogę, a potem jak zaczyna raczkować i razem bawią się w chowanego.

Miał tyle planów, tak wiele rzeczy chciał nauczyć swojego brata lub siostrę: pływanie, łażenia po drzewach, jazdy konnej, gry w baseball. A potem nadeszła ta noc.

Ojciec z Royem pojechali na spęd bydła; na farmie został Jake z mamą. W środku nocy usłyszał dochodzący z głębi domu podniesiony głos. Chłopiec wstał z łóżka i wyszedł na palcach z pokoju. Matka krzyczała do telefonu, wzywając helikopter medyczny.

Na widok bladej, drżącej i zapłakanej matki Jake wystraszył się. Kiedy odłożyła słuchawkę na widełki, nie chciała odpowiadać na pytania syna, tylko pobiegła do radiotelefonu, żeby zadzwonić do męża.

Mężczyźni spali; trwało wieki, zanim ktokolwiek odebrał telefon. Matka kompletnie się załamała; kiedy wreszcie usłyszała głos męża, zanosila się takim szlochem, że ledwo była w stanie mówić. Jake'owi serce pękało z rozpaczy. Próbował przytulić matkę; pytał, co się stało i jak może jej pomóc. W końcu przestała płakać i zimną dłonią pogładziła syna po twarzy.

– Musisz być dzielny, kochanie. Wkrótce przyleci pan doktor. Zapal w domu wszystkie światła i czekaj na niego na werandzie.

– Dobrze, mamusiu – szepnął, chociaż nie chciał matki zostawiać samej.

– A potem przyprowadź go do mnie.

Z cichym jękiem odwróciła się i przyciskając rękę do ust, jakby bała się, że zaraz zwymiotuje, chwiejnym krokiem oddaliła się do sypialni. Przez otwarte drzwi chłopiec zobaczył, jak matka osuwa się na łóżko i leży kompletnie bez ruchu. Ignorując polecenie matki, aby czekać na werandzie, pognął za nią do sypialni. Potrząsnął ją delikatnie za ramię. Po chwili, zanosząc się płaczem, potrząsnął ją mocniej; błagał, by się obudziła. Nie reagowała na jego prośby.

I wtem dostrzegł dziwne zawiniątko.

Obszedł na palcach łożko. Zobaczył małą twarzyczkę; owinięte szalem niemowlę leżało tak blisko krawędzi, że bez trudu mogło spać. Oczy miało zamknięte. Jake podniósł małeństwo i dotknął jego twarzy. Była zimna. Strach chwycił go za gardło.

Niech zjawi się lekarz! Albo ojciec z Royem!

Nie mogąc powstrzymać łez, Jake ostrożnie ułożył niemowlę w kołysce stojącej w rogu sypialni, następnie przykrył matkę kocem i wyszedł na werandę, by czekać na przyjazd lekarza.

Dość skutecznie zepchnął te obrazy w najdalszy kąt pamięci. Czasem pojawiały się w koszmarach nocnych, ale rzadko. Dziś jednak, kiedy zobaczył brzuch Mattie, załapała go fala wspomnień.

Tamtej nocy wiele razy wracał do sypialni rodziców, modląc się o to, aby mama się obudziła. Ani ona, ani dziecko nie dawali znaku życia.

Dopiero po kilku godzinach Jake usłyszał tętent koni, jednocześnie ujrzał światła lądującej awionetki. Ojciec z Royem przybył w tym samym czasie co lekarz.

Lekarz wbiegł do domu, ojciec za nim. Zamknęli za sobą drzwi. Jake znalazł pocieszenie w ramionach Roya. To Roy mu powiedział, że mama wyzdrowieje, ale braciszek niestety nie żyje. To Roy nie odstępował go na krok przez cały następny dzień. To Roy wyjaśnił mu, co oznacza przedwczesny martwy poród. To Roy zapewnił chłopca, że nie ponosi żadnej winy. Nic nie można było zrobić.

Wydawszy z siebie ochrypy jęk, Jake oparł się o kierownicę. Siedział tak, wpatrując się w ulewny deszcz.

Dziś jako dorosły, trzeźwo myślący człowiek wiedział, że to, co spotkało jego matkę, to nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Mieszkała na odludziu, lekarz nie zdążył dotrzeć w porę. W Sydney taka sytuacja nie miała prawa się

wydarzyć. Mimo to bał się. Sama myśl o ciąży i narodzinach przepełniała go trwogą. Nigdy więcej nie chciał przeżyć czegoś podobnego.

Dzięki Bogu, że miał na tyle rozumu, aby wyjść z mieszkania Mattie. Nie rozumiał, dlaczego rozsądna młoda kobieta postępuje tak nieodpowiedzialnie. Dlaczego naraża własne życie.

Dlatego, że Mattie nie jest typową dziewczyną, odpowiedział sam sobie. Jest kimś wyjątkowym. Fantastycznie wygląda w koronkowej bieliźnie. Ma wielkie serce, emanuje ciepłem, serdecznością...

Nie! Jeśli zacznie myśleć o jej zaletach, trudniej mu będzie się od niej uwolnić. A przecież już zdecydował: nie chce się angażować, nie chce się o nią martwić, czuć się za nią odpowiedzialny.

Przekreślił klucz w stacyjce. Musi trzymać się od niej jak najdalej. Kiedy jednak stanął na czerwonym świetle, przewinęło mu się przed oczami kilka najbliższych miesięcy z życia Mattie. Bliźniacza ciąża odcisnie na niej ogromne piętno. Mattie będzie sama, zdana wyłącznie na siebie... Czy naprawdę sądzi, że ze wszystkim sobie poradzi? Dlaczego jest taka uparta? Towarzystwo kogoś bliskiego bardzo by jej pomogło.

Ruszył, kiedy światło się zmieniło. Nie potrafił odzyskać spokoju. Na myśl o Mattie rodzącej bliźnięta walnął pięścią w kierownicę. Surogatka...

Psiakrew, za daleko się posunęła! To było jak jazda jednokierunkową ulicą bez możliwości zawrócenia. Zresztą teraz już i tak jest za późno. Czuł się równie bezradny jak wtedy, gdy miał dziewięć lat.

Nie chciał się angażować. Ale czy ma wybór?

Mattie potrzebuje pomocy. Nie podjął świadomie decyzji, po prostu zaczął jeździć w kółko, aż znów znalazł się przed jej domem. Zatrzymał auto, wysiadł i ruszył biegiem do drzwi, tym razem bez kurtki.

Zastukał. Brutus ponownie zaczął jazgotać.

Znów czekał nieskończenie długo, aby Mattie otworzyła. Kiedy ją zobaczył, poczuł się koszmarnie. Oczy miała spuchnięte i zażawione, nos czerwony. Trzymała w ręce garść mokrych chusteczek. Na jego widok zanosła się gwałtownym szlochem.

– Mattie, ja...

Potrząsnęła głową i przytknęła dłoń z chustkami do ust. Poczul ucisk w gardle. Nie mógł znieść myśli, że to przez niego Mattie płacze! Gdyby ktokolwiek wyrządził jej krzywdę, on bez wahania porachowałby mu kości.

– Chciałem sprawdzić, czy na pewno wszystko jest w porządku – powiedział. – Widzę, że nie jest.

Nie zaprosiła go do środka. Stojąc w drzwiach, wierzchem dłoni otarła mokre policzki.

– Już ci mówiłam, Jake. Czuję się dobrze. Nie musisz się o mnie martwić.

– Kto się tobą opiekuje?

– Nie potrzebuję żadnej opieki. – Wytarła głośno nos, resztki łez wytarła mankietem. – Nie jestem chora, Jestem w ciąży.

– Zamierzasz donosić ją sama, bez niczyjej pomocy?

– A powinnam z kimś do spółki? – warknęła. Była zła. Starając się pohamować niepokój i zniecierpliwienie, Jake podjął kolejną próbę:

– Następne dwa czy trzy miesiące będą ciężkie.

– Bo będę wielka jak wieloryb?

– Tak, będziesz wielka. I będziesz musiała robić zakupy, gotować i jeździć do lekarza.

– To nie problem. Przyczepię do siebie kartkę: „Uwaga, duże gabaryty!”.

– Mattie, mówię serio. Naprawdę chcesz sama się wszystkim zajmować?

Do końca?

– Dlaczego by nie? – spytała znużonym tonem. Jake wziął głęboki oddech. Cierpliwości.

– Spodziewasz się bliźniąt, dzieci swoich przyjaciół. Chyba z wdzięczności powinni się tobą na okrągło opiekować. A jakoś ich tu nie widzę. Porzucili cię?

– Nic o nich nie wiesz, Jake – oznajmiła chłodnym, spokojnym głosem.

Stała w drzwiach, z rękami skrzyżowanymi na wypukłym brzuchu, zagradzając wejście do mieszkania.

– Nikt mnie nie porzucił. – Na moment zamilkła. – Przyjazd do Sydney był moim pomysłem. Gdybym została w Willowbank, całe miasteczko huczałoby od plotek.

Ponownie wytarła nos, po czym uśmiechnęła się przez łzy.

– Dam sobie radę. I wolę być sama. Zwariowałabym, gdyby Gina z Tomem mieszkali w pobliżu. Ciągłe by wokół mnie skakali.

– Mattie, co innego zwykła ciąża, a co innego bliźniacza. Jak sobie wyobrażasz sprzątanie czy...

– Wszystko jest załatwione. Gina z Tomem zatrudnili młodą dziewczynę, która przychodzi sprzątać. Jest fantastyczna.

Odetchnął z ulgą.

– Czyli jednak się tobą opiekują?

– Nieustannie. – Wyciągnęła rękę, demonstrując pięknie pomalowane paznokcie. – Przysyłają mi kupony na manikiur, pedikiur, oczyszczanie cery, masaże i inne zabiegi. Rozpieszczają mnie.

– To dobrze.

Ponownie skrzyżowała ręce na piersi i wyprostowała dumnie ramiona.

– Dzięki za troskę, Jake. To miłe z twojej strony.

– Nie ma o czym mówić.

Sięgnęła do klamki, jakby uznała, że rozmowa dobiegła końca. Poczuci ucisk w piersi. Z trudem wciągnął powietrze.

– Poczekaj... – Chciał ją poprosić, by nie płakała, powiedzieć, że on... że...

Wpadł w panikę. Co on tu robi? Mattie nie potrzebuje pomocy przy codziennych czynnościach. On nie chce się angażować. Romans nie wchodzi w grę. A zatem...?

Mattie zmrużyła oczy i czekała.

Przełknął ślinę. Nie wiedział, jak się zachować. To nie do wiary. Kto by pomyślał, że Jake'owi kiedykolwiek zabranie słów?

– Zapomniałaś o kocie – oznajmił w końcu.

– O czym ty mówisz? Mam psa, nie kota.

– Nie, na rysunku. Na każdym, oprócz czarownicy Molly, widnieje czarny kocur.

Mattie obróciła się i marszcząc czoło, popatrzyła na drugi koniec pokoju, gdzie stał stolik z przyborami malarskimi. Jake z zapartym tchem obserwował jej profil.

Widział długie aksamitne rzęsy, małe zgrubienie na nosie, wargi pełne i miękkie niczym płatki róży, ciemnoblonde włosy łagodnie opadające na ramiona.

Pamiętał smak jej ust, to, jak gorliwie odwzajemniały jego pocałunki. O dziwo, krągła sylwetka Mattie nie umniejszała pożądania, jakie do niej czuł. Pragnął wziąć ją w objęcia, przytulić...

– Masz rację – przyznała zaskoczona. – Na ostatnim rysunku zapomniałam o kocie. Pewnie wszystkiemu winna jest amnezja ciążowa.

Ponownie obróciła się do niego twarzą. Usiłował sobie przypomnieć, o czym rozmawiali. Nie o jej ustach. Nie o... Ach, tak, o kocie.

– Może się schował pod stołem?

– Tak, mogłabym go dorysować, jak częściowo przysłonięty obrusem czeka, żeby Molly dała mu makrelę.

– Dobry pomysł.

Oczy jej załśniły ciepłym blaskiem. Ciekawe, pomyślał Jake, jak by zareagowała, gdyby spróbował ją pocałować?

– Dzięki, Jake. Nie mogę uwierzyć, że taka ze mnie gapa. Moi mali czytelnicy byliby niepokieszeni, gdyby nie znaleźli kota.

Na moment utkwiała wzrok w swoim wystającym brzuchu i westchnęła cicho.

– To już wszystko? – zapytała.

Nie! – miał ochotę krzyknąć. Czuł przemożną chęć, by ją pocałować. Zwykle pocałunki prowadziły do seksu, ale teraz pragnął czegoś innego, głębszego.

Pragnął Mattie jak jeszcze żadnej kobiety. Potrzebował jej niczym tlenu. Przy niej ogarniała go błogość i szczęście; z dala od niej wpadał w przygnębienie. Nie wiedział jednak, jak jej to powiedzieć. Gorzej, że sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać.

Myśl, że jego samopoczucie zależy od ciężarnej kobiety, była dość przerażająca.

Mattie zaczęła zamykać drzwi.

– Uściskaj ode mnie Roya – poprosiła.

– Uściskam – obiecał.

Wiedział, że nie może odejść. Był jej potrzebny. Nigdy nie opiekował się kobietą w ciąży, ale zamierzał spróbować. Wiele lat temu mama wyгнаła

go na werandę. Teraz Mattie jest w ciąży, a on nie wyobrażał sobie kolejnego odrzucenia.

– Wszystkiego dobrego, Jake. Niech ci urlop przyjemnie mija.

Postąpił krok do przodu, lecz Mattie zamknęła mu drzwi przed nosem.

TTLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

A raczej usiłowała zamknąć, ale Jake był szybki. Niczym obrońca, który rzuca się na piłkę, zanim ta wpadnie do bramki, rzucił się na drzwi.

– Co robisz? – zawołała Mattie. – Chcesz, żebym ci zmiażdżyła rękę?

Wzruszywszy ramionami, otworzył je na oścież.

– Nie mogę cię zostawić. Nie bądź uparta.

– Uważasz, że jestem uparta?

– Tak, jeżeli sądzisz, że sama sobie ze wszystkim poradzisz – odpowiedział lekko zirytowany.

– Nie możesz się wdzierać siłą i mi rozkazywać!

Ignorując jej sprzeciw, wszedł głębiej do mieszkania. – Nie chcę cię tu, Jake!

Stanął na środku salonu. Wyglądał jak mały zagubiony chłopiec, który nagle wpadł w tarapaty. Serce Mattie zaczęło mięknąć.

– Słuchaj... – Potarł ręką twarz. – Nie wiem, co powinienem zrobić. Nie mam żadnego planu. Ale nie mogę... nie mogę po prostu stąd wyjść, nie przejmując się tym, co z tobą będzie.

Przez moment patrzyła na niego oszołomiona. O czym on mówi? Jedna myśl krążyła jej po głowie: byłoby miło, gdyby Jake wziął ją w ramiona i pocałował. Ale jemu wyraźnie nie o to chodziło, a ona nie zamierzała go o nic prosić. Już raz spróbowała i wylądowali w łóżku.

– Muszę usiąść – powiedziała, niezdarnie osuwając się na kanapę.

Jake poczekał, aż Mattie wygodnie się usadowi, po czym usiadł naprzeciwko. Opierając łokcie na kolanach, pochylił się do przodu i utkwiał w niej spojrzenie.

– Nic nie wiem na temat kobiet spodziewających się bliźniąt.

Był tak przejęty, że nie zdołała powściągnąć uśmiechu.

– A myślisz, że jakikolwiek nieżonaty facet, nie licząc położnika, wie cokolwiek o bliźniaczej ciąży?

Twarz mu się rozjaśniła, po chwili jednak znów spoważniał.

– Naprawdę nie chcę sprawiać ci kłopotu. Nie będę tu mieszkał, znajdę sobie jakieś lokum. Ale zamierzam zostać w Sydney.

– Do końca urlopu?

– Do narodzin dzieci. Mattie zaniemówiła.

– Dlaczego? – zapytała w końcu.

– Chcę... chcę spędzić więcej czasu z Royem. A przy okazji będę miał ciebie na oku.

– To bez sensu, Jake. Nie potrzebuję strażnika. I mam doskonałego lekarza.

Poderwał się z kanapy i niczym lew w klatce zaczął krążyć po pokoju.

– Nie będę ci się narzucał. Obiecuję. Ale nie możesz być sama.

Mattie wpatrywała się w niego jak ptak zahipnotyzowany przez jadowitą zmiję.

– Zamieszkać w Wullumulu. W apartamentach Dockside.

– A co z pracą?

– Poproszę o bezpłatny urlop. Jeśli będzie trzeba, złożę wypowiedzenie.

– To szaleństwo. Potrząsnął głową.

– Zostawię ci numer mojej komórki. Masz do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

– Po co? Westchnął.

– Jak trzeba będzie przesunąć coś ciężkiego, jeśli źle się poczujesz, a psa trzeba wyprowadzić, jeśli trzeba będzie zrobić zakupy, jeśli cokolwiek się

zepsuje, toster, klimatyzacja, pralka. Ja się tym zajmę, sprowadzę fachowca, przypilnuję go.

Mattie otworzyła usta, ale nie zdołała nic powiedzieć. Gdyby dłużej się spotykali... Ale Jake jest facetem, z którym tylko raz się przespała; facetem, który nie chce się wiązać; facetem, o którym stara się zapomnieć.

Wreszcie odzyskała głos.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, ale ja nie chcę żyć w kokonie.

– Nikt ci nie każe. Po prostu dbaj o siebie. Odpoczywaj, nie przemęczaj się. I dzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała.

– Nie rozumiem. Dlaczego to robisz?

– Jesteś w ciąży. Nie powinnaś być sama.

Mattie zamyśliła się: coś musi się za tym kryć.

Czyżby jakaś znajoma Jake'a poroniła? Wolno wypuścił z płuc powietrze.

– Podam ci swoje namiary.

– Namiary... Okej... – Przesunęła się na brzeg kanapy, żeby z niej wstać.

Zanim się spostrzegła, Jake był obok. Ujął ją za łokieć, podtrzymał. Jego dotyk przejął ją dreszczem.

– Dziękuję – rzekła, podnosząc się. – Przyniosę z kuchni notes.

– Cześć, stary. – Na końcu linii rozległ się głos Willa. – Nie spodziewałem się twojego telefonu. Co porabiasz? Co słyhać w cywilizowanym świecie?

Leżąc na wznak w swoim wynajętym mieszkaniu w dzielnicy Wullumulu, Jake wpatrywał się w sufit.

– Co porabiam? Całkiem inne rzeczy, niż sądziłem, że będę porabiał.

– Tylko mi nie mów, że przestały cię kręcić piękne, smukłe, niezamężne laski?

– Zgadłeś. – Prawdę rzekłszy, nawet nie próbował żadnej poderwać. – Słuchaj, nie wracam na razie do Mongolii i chciałbym cię prosić, żebyś spakował moje rzeczy.

– Żartujesz! Co się stało? Jesteś chory?

– Nie, nic takiego. Po prostu muszę tu zostać ze dwa lub trzy miesiące.

A później, jeśli moje stanowisko wciąż będzie nieobsadzone, to kto wie?

Nastała cisza. Will pierwszy ją przerwał.

– Czy twoja decyzja ma coś wspólnego z Mattie Carey?

– Z Mattie? Dlaczego pytasz?

– Dostałem od niej dziwny mejl.

– Co napisała?

– Że martwi się o ciebie.

– Żartujesz?

– Bynajmniej. Sprawiała wrażenie bardzo przejętej. Ale słowem nie wspomniała, że zrezygnowałaś z pracy.

– Nic mi nie jest – Jake zapewnił przyjaciela, chociaż nie brzmiało to zbyt przekonująco.

– Co się dzieje między tobą a Mattie?

– Niewiele.

– Akurat!

Jake westchnął. Wczoraj Roy też koniecznie chciał rozmawiać o Mattie.

– Nie przypuszczałem, że jest w twoim typie –ciągnął Will.

Jake nie zamierzał połknąć haczyka. Tyle że wytrwał w tym postanowieniu może pięć sekund, po czym spytał:

– Niby dlaczego nie?

Will roześmiał się wesoło.

– Dobrze wiesz, jakie lubisz dziewczyny.

– Jakie?

– Szybkie, chętne, gibkie.

Zazwyczaj takie słowa nie wprawiłyby Jake'a w konsternację, dziś jednak poczuł się zawstydzony. Nagle w głosie przyjaciela pojawiła się nuta podejrzliwości.

– O Chryste, Jake, chyba wyście nie... Jake milczał. Will nie dawał za wygraną.

– Powiedz mi, że to nieprawda. Że kiedy ty i Mattie mieszkaliście u mnie...

– Odpuść, stary.

– Nie mogę. Ty i Mattie...?

– Wiedziałaś, co ona planuje, prawda? – Jake odruchowo zwinął dłoń w pięść, po czym rozprostował palce. – Że chce urodzić cudze dziecko? Ale nie raczyłeś mnie o tym poinformować.

– To delikatna sprawa, Jake. Zawarli porozumienie, Mattie, moja siostra i jej mąż. Skąd miałem wiedzieć, że może cię ono w jakikolwiek sposób dotyczyć?

– Zadawałem mnóstwo pytań o Mattie.

– Sądziłem, że kieruje tobą zwykła ciekawość. Nie przyszło mi do głowy, że jesteście parą.

– Nie jesteśmy.

– To dlaczego ona się o ciebie martwi?

– Bo... to leży w jej naturze. Bo Mattie przejmuję się wszystkim i wszystkimi.

– To prawda – przyznał Will.

– Święta Matilda – mruknął Jake.

– Choć nie taka święta, co?

- Stul...
- Dobra, nie wściekaj się.
- A ty bądź tak miły i spakuj moje rzeczy.
- W porządku.

Siedzieli u Mattie przy stole kuchennym.

– Dla chłopca podoba mi się imię Jack – rzekł Tom. Gina pokręciła przecząco głową.

– To zbyt tradycyjne. Wolałabym coś bardziej nowoczesnego, na przykład Jasper albo Jake. – Popatrzyła na Mattie, która na dźwięk tego drugiego imienia omal nie rozlała herbaty. – A ty jak myślisz?

– Myślę, że nie powinnam brać udziału w wyborze imion.

Ku jej zdumieniu Gina z Tomem zawołali chórem:

– Dlaczego?

Mattie uśmiechnęła się.

– To wasze dzieci. Dwóm osobom trudno się zdecydować, a jak ja bym jeszcze dołożyła swoje trzy grosze...

– Ależ musisz, Mattie – oznajmiła Gina. – Już w przedszkolu wybierałyśmy imiona dla lalek...

Mattie pogładziła się po brzuchu.

– Ale teraz rozmawiamy o dzieciach. Twoich i Toma. Imiona, które im wybierzecie, będą nosić do końca życia.

– Przecież wiem.

– Ja mówię na nie Kropka i Przecinek – powiedziała, próbując rozładować atmosferę.

Gina jednak siedziała ze skwaszoną miną.

– No dobrze. – Mattie poddała się. – Jeśli koniecznie chcesz znać moje zdanie, to wolałabym, żeby chłopiec nie był Jakiem.

– Nie podoba ci się Jake?

Podoba. Aż za bardzo. Na sam dźwięk tego imienia przechodziły ją ciarki.

Jake Devlin stanowił dla niej zagadkę. Był miły, uprzejmy, lecz wciąż nie pojmowała, co nim kieruje. Czasem odnosiła wrażenie, że autentycznie mu na niej zależy, ale zachowywał się tak powściągliwie, że nie miała pewności. Rozstanie z Pete'em pozostawiło blizny w jej sercu. Może dlatego bała się uwagi, jaką Jake jej poświęcał. Podejrzewała, że ona też stanowi dla niego zagadkę. Nic dziwnego, że zachowywał się powściągliwie, skoro ona trzymała go na dystans.

Jeżeli żadne z nich się nie otworzy, być może szansa przejdzie im koło nosa. Trudno, będzie musiała się z tym pogodzić. Ale jeśli Gina z Tomem dadzą synkowi na imię Jake, wówczas dziecko będzie stałym przypomnieniem niespełnionej miłości.

Gina nadal czekała na odpowiedź.

– To świetne imię – rzekła Mattie. – Nie przejmujcie się mną.

Przez chwilę Gina przyglądała się jej z namysłem, po czym uśmiechnęła się znacząco.

– Ale ze mnie gapa ! Zupełnie wyleciało mi z głowy !

Przecież ten przyjaciel Willa, z którym latem dzieliłaś mieszkanie, ma na imię Jake, prawda? Mattie jęknęła w duchu.

– Złamał ci serce – oznajmiła dramatycznym tonem jej przyjaciółka.

– Nic mi nie złamał.

– Ale podobał ci się, prawda? Mattie wzruszyła ramionami.

– Och, bidulo! Will mówił, że ten Jake lubi skakać z kwiatka na kwiatek.

Drań.

Mattie nie odezwała się. Nie chciała mówić Ginie i Tomowi, że Jake wrócił do Sydney i zamierza przeistoczyć się w jej osobistego anioła stróża. Zaczęliby domagać się odpowiedzi, a ona jej nie znała.

Po chwili uznała, że musi bronić Jake'a.

– To nie było tak, jak myślisz, Gino. Ja też ponoszę winę.

– Innymi słowy mamy zmienić temat – rzekł Tom, posyłając żonie ostrzegawcze spojrzenie.

– Tak mówisz?

– Tak, kochanie. Nie powinniśmy denerwować Mattie. Ani stresować jej wyborem imion. Dlatego przyjechała do Sydney. Żeby mieć spokój.

Na szczęście Gina posłuchała męża.

Mattie siedziała przy stoliku pod oknem i wpatrywała się w ekran laptopa. Powinna pracować nad ostateczną wersją opowieści o Molly, lecz nie mogła się skupić. Jake dzwonił spytać, czy będzie po południu w domu. Chciał wpaść z wizytą. Od czasu jego telefonu bujała myślami w obłokach.

Mijając okno Mattie, jej sąsiadka Carol, która wyszła do skrzynki po listy, zagwizdała cicho.

– Ślicznie dziś wyglądasz! Spodziewasz się Wyjątkowego gościa?

– E tam, całkiem normalnego – odparła Mattie, która miała na sobie swoją najładniejszą bluzkę ciążową, a na rzęsy nałożyła dwie warstwy tuszu. Jej nonszalancki ton zepsuł rumieniec, jaki pojawił się na jej twarzy.

Carol uśmiechnęła się porozumiewawczo, a słysząc warkot silnika, obejrzała się przez ramię.

– Czy twój całkiem normalny gość jest mężczyzną liczącym około metr osiemdziesiąt pięć wzrostu?

Mattie ponownie się zaczerwieniła.

– Możliwe.

Carol powachlowała się plikiem listów.

– Dzwon po pogotowie – szepnęła dramatycznym tonem. – Dostałam strasznych palpacji.

Mattie wybuchnęła śmiechem. Po chwili usłyszała na ścieżce odgłos kroków. Zza krzewów wyłonił się Jake. Carol znikła, a do drzwi rozległo się pukanie.

– Bądź grzeczny, Brutusie – Mattie rozkazała kundelkowi.

O dziwo, pies posłuchał.

Nacisnęła klamkę. Jake też ubrał się staranniej niż zwykle: w jasną bawełnianą koszulę, ciemne spodnie, wypastował buty. Popatrzyła na niego z tęsknotą. Nie przypuszczała, że można być w zaawansowanej ciąży i nadal pragnąć mężczyzny. Stał z rękami na plecach, jakby coś przed nią ukrywał.

– Dzień dobry, Mattie – powiedział niskim głosem i uśmiechając się nieśmiało, wysunął ręce przed siebie. Trzymał dwie doniczki: w jednej rósł krzew róży obsypany miniaturowymi pąkami, w drugiej pęk irysów o płatkach w kolorze bezchmurnego nieba w letni dzień. – To na cześć twoich dzieci.

– Są piękne. Różowe dla dziewczynki, niebieskie dla chłopca. – Łzy napłynęły jej do oczu. Tylko nie becz! *i*

– Pomyślałem, że może wolisz kwiaty żywe od ciętych.

Wzruszona pociągnęła nosem.

– Dziękuję... Nastawię wodę.

– Nie. Usiądź, ja nastawię.

– Nie przesadzaj. Jestem sprawna, zdrowa...

– Wiem, wiem – przerwał jej. – Jak rydz. Ale nie kłóć się ze mną. Byłem w bibliotece i przeczytałem parę książek na temat bliźniaczej ciąży. W trzecim trymestrze kobieta powinna się oszczędzać. Więc usiądź wygodnie, oprzyj wysoko nogi, a ja się wszystkim zajmę.

– Dobrze – rzekła potulnie. – Dla mnie herbata miętowa. Torebki są w niebieskim pojemniku.

Zsunęła z nóg sandały, usiadła na kanapie, nogi oparła na poduszkach. Ale nie potrafiła się odprężyć. Zachowanie Jake'a było zbyt zaskakujące.

Obraz mężczyzny w kuchni przygotowującego ziołową herbatę zupełnie nie przystawał do obrazu mężczyzny, którego zobaczyła zaraz po swoim przyjeździe do Sydney. Wciąż miała przed oczami widok majtek Ange na podłodze w łazience i zmiętej pościeli w sypialni. Potem Ange znikła, a ona, Mattie, wylądowała z Jakiem w łóżku. Pamiętała pożegnanie na lotnisku i słowa, jakie wtedy wypowiedział, żeby nie liczyła na wspólną przyszłość.

Kiedy wrócił do Mongolii, zrozumiała, że Jake to zatwardziały kawaler, playboy kochający życie bez zobowiązań. I nagle ten playboy pragnie się o nią troszczyć. Strasznie to wszystko jest pogmatwane.

Postronny widz mógłby uznać, że jeśli mężczyzna rezygnuje z pracy zawodowej, aby pomagać ciężarnej kobiecie, to znaczy, że mu na niej bardzo zależy. Mattie wprawdzie chciałaby, by tak było, lecz nie wierzyła, że w swoim obecnym stanie, kiedy wyglądała jak wieloryb, mogłaby się spodobać komuś, kto całe życie zmieniał kobiety jak rękawiczki.

Ona zaś... no cóż, czuła, jak miednica się jej poszerza, co pięć minut musiała latać do toalety, a kostki puchły jej, jeśli nie trzymała nóg w gorze. Co tydzień chodziła na wizyty do lekarza, który sprawdzał, jak się ciąża rozwija. Jake miał rację, kiedy nazwał ją inkubatorem; czasem faktycznie tak się czuła.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przeobrazi się z powrotem w beztroską szczęśliwą dziewczynę, jaką była parę miesięcy temu, kiedy przez tydzień mieszkała z Jakiem. Tamten dzień, kiedy gotowali w rondelku herbatę dla Roya, a potem wybrali się do kina, wydawał się jej bardzo odległy. A noc,

wspaniała, pełna napiętności noc, którą spędzili razem, była czymś niemal nierealnym.

Mattie ocknęła się z zadumy, kiedy Jake wszedł do salonu, niosąc herbatę dla niej i kawę dla siebie. Zrelaksowany i uśmiechnięty zajął miejsce na tej samej kanapie, na której siedziała, dosłownie parę centymetrów od jej gołych stóp. Gdy niechcący otarł się o nie kolanem, zalała ją fala ciepła. To nie fair! Sprawiał wrażenie opanowanego, podczas gdy ona oddychała szybko, jak po długim biegu.

– Widziałeś się z Royem?

Skinał głową.

– Trochę się o niego martwię. Jest blady, osowiały.

– To niedobrze. Rozmawiałeś z lekarzem albo pielęgniarką?

– Zapewniają mnie, że nic mu nie dolega, ale moim zdaniem wygląda, jakby jedną nogą stał w grobie.

– Biedaczysko.

Jake przyjrzał się jej badawczo.

– Za to ty wyglądasz świetnie. Jak...

– Pączek w maśle? Roześmiał się.

– Chciałem powiedzieć: jak kwiat w rozkwicie. –Upił łyk kawy. – Co będzie z Brutusem i Pavarottim, kiedy pójdziesz do szpitala? Kto się nimi zaopiekuje?

– W przyszłym tygodniu Gina z Tomem zabiorą ich do siebie. Na wypadek, gdyby poród nastąpił wcześniej.

– Wcześniej?

– Z bliźniakami to się zdarza. W każdym bądź razie – kontynuowała Mattie – Brutus i Pavarotti pojedą do Willowbank. Zamieszkają u rodziców Giny.

Jake ponownie skinął głową, po czym sięgnął do kieszeni spodni.

– Mam coś dla twojego zwierzyńca. – Wyciągnął niebieską gumową zabawkę w kształcie kości, którą podał Brutusowi. – Trzymaj, kolego. To dla ciebie.

Piesek natychmiast rzucił się na prezent.

– Podoba mu się.

Po chwili z innej kieszeni Jake wyjął coś, co przypominało gałąź z liściem.

Mattie parsknęła śmiechem.

– A to dla Pavarottiego?

– Tak. Żerdź do pedikiuru.

– Słucham?

– Żerdź do pedikiuru. Tak to reklamują. Zobacz. Tu ptaszek siada, tu zaciska pazurki, a tu dziobie.

– Cudne!

Nagle Mattie spowaźniała. Na chwilę udało jej się zapomnieć o lękach i wahaniach. Była szczęśliwa i wesoła jak na początku znajomości z Jakiem. Na początku? Cała ich znajomość trwała krótko. A potem pojechali na lotnisko i Jake ostrzegł ją, by nie robiła sobie nadziei.

Więc nie robiła, mimo to musiała spytać:

– Dlaczego, Jake?

– Co dlaczego?

– Dlaczego tu jesteś? Dlaczego się o mnie troszczysz?

Przez kilka sekund milczał, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć. Miała wrażenie, że sam sobie zadaje identyczne pytanie. Czekwała. Wpatrywał się w nią z zadumą, po czym przeniósł spojrzenie na Brutusa, który bawił się gumową kością.

– Pamiętasz, kiedy zabraliśmy Roya z domu opieki? Kiedy gotowaliśmy herbatę?

– Oczywiście.

– Tego dnia uświadomiłem sobie, że zawsze starasz się uszczęśliwić innych. I ciekaw byłem, czy kiedykolwiek ktoś próbował uszczęśliwić ciebie.

– To właśnie robisz? – Głos jej lekko zadrżał. – Próbujesz mnie uszczęśliwić?

– Taki mam cel – odparł z uśmiechem.

Nie dała rady: rozplakała się. Przysunąwszy się bliżej, Jake objął ją, a ona oparła głowę o jego ramię. Nie przeszkadzało mu to. Całował ją po czole, gładził po włosach, wydawał ciche kojące dźwięki niczym rodzic, który stara się uspokoić swoje dziecko. Przytuliła się do niego z całej siły, jakby był jej ostatnią deską ratunku. Buzowały w niej różne emocje, ale jedno nie ulegało wątpliwości: pokochała Jake'a.

Wiedziała, czym to grozi, wiedziała, że Jake może złamać jej serce, ale się tym nie przejmowała. Rozkoszowała się jego bliskością, dotykiem, zapachem jego skóry, wody po goleniu, wykrochmalonej koszuli, i w głowie się jej kręciło ze szczęścia.

– Mattie – szepnął – nie płacz. Nie chciałem cię zasmucić.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Po chwili do mieszkania wkroczył Tom.

– Cholera jasna, co tu się dzieje? – spytał gniewnie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Co się stało, Mattie? Dlaczego płaczesz?

W odpowiedzi potrząsnęła głową. Twarz miała moką od łez, gardło zbyt ściśnięte, aby mówić. Tom podszedł bliżej.

– Jesteś pewna, że nic ci nie jest? – Zerknął groźnie na Jake'a. – Coś ty za jeden?

Jake podniósł się z kanapy. Atmosfera była napięta, powietrze gęste od testosteronu. Mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Po chwili Jake, który był o głowę wyższy od Toma, wyciągnął rękę.

– Nazywam się Jake Devlin – oznajmił bez cienia uśmiechu na twarzy.

– Jake, to jest Tom. Tom Roberts – wyjaśniła Mattie.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

– Przyszły ojciec? – spytał Jake.

– Tak. A ty jesteś tym gościem z Mongolii? – zapytał Tom tonem policjanta przesłuchującego recydywistę.

Jake popatrzył na Mattie.

– Jake jest moim przyjacielem.

– Który lubi doprowadzać cię do płaczu?

– To nie przez niego płaczę. – Mattie wskazała na stół. – Przyniósł mi piękne kwiaty.

Tom powiódł podejrzliwym wzrokiem po doniczkach, Mattie zaś ukradkiem otarła oczy. Na białej chusteczce spostrzegła ślady tuszu do rzęs; miała nadzieję, że nie rozmazała makijażu i nie wygląda jak miś panda.

– Nie wiedziałam, że wróciłeś do Sydney – głosem znacznie spokojniejszym zwróciła się ponownie do Toma. – Gina też tu jest?

– Przyjechałem służbowo. Na krótko. No i nie mogłem nie wpaść do ciebie. – Znow skierował spojrzenie na doniczki, potem na Jake'a.

– Może usiądziesz? – zaproponował Jake, zajmując miejsce koło Mattie.

Mattie podniosła wzrok na Toma. Przestań się jeżyć, bądź miły dla Jake'a, poprosiła go w myślach. Najwyraźniej ich nie odczytał.

– Mattie wspomniała ci, że spodziewa się bliźniąt, prawda? – zapytał, siadając na drugiej kanapie.

– Oczywiście.

– A mówiła, że wiele kobiet w ciąży bliźniaczej trzeci trymestr spędza w szpitalu, żeby mieć zapewniony spokój i odpoczynek? – Mattie poczuła, jak Jake się spina. – Innymi słowa, nie powinno się Mattie denerwować.

– Mnie również bardzo zależy, aby Mattie miała spokój – rzekł Jake – i bezpiecznie urodziła dzieci.

Tom skinął głową, ale w jego oczach malowała się niepewność.

– A jak się miewa Gina? – spytała Mattie, próbując skierować rozmowę na inne tory.

– Doskonale. – Wreszcie na twarzy Toma pojawił się uśmiech. – Mówi o dzieciach od rana do wieczora, przez pół nocy, a potem jeszcze przez sen.

– Jest przejęta...

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. Jake wstał.

– Pójdę już. Na pewno macie mnóstwo do obgadania.

– Nie musisz wychodzić – zaprotestowała Mattie, ale nie nalegała, widząc zdeterminowaną minę Jake'a.

– Tak będzie lepiej. Miło było cię poznać, Tom.

– Ciebie też, Jake – mruknął pod nosem Tom.

– Do zobaczenia, Mattie.

Schyliwszy się, Jake pocałował ją w policzek. Jego usta tylko lekko ją musnęły, ale poczuła taki żar, jakby cała płonęła. Chciała powiedzieć, żeby wpadał, kiedy ma ochotę, ale ugryzła się w język, by nie drażnić Toma.

– Dzięki za prezenty. Są wspaniałe.

– Drobiazg. Dbaj o siebie.

Kiedy zniknął za drzwiami, uszła z niej radość życia. Jednakże ze względu na Toma zmusiła się, aby przybrać pogodny wyraz twarzy.

– Mam nadzieję, że nie będzie cię nachodził i zasmucał – rzekł Tom, zanim jeszcze ucichły kroki Jake'a.

– Możesz być o to spokojny – zapewniła go Mattie, choć wcale nie miała tej pewności.

Jeśli chodzi o Jake'a, nie wiedziała, czego sama chce i czego może się po nim spodziewać. Dla dobra dzieci powinna się wziąć w garść.

Szedł do samochodu tak podminowany, że gdyby na ścieżce leżał jakiś karton czy kamień, pewnie by go kopnął, by dać upust swojej złości. Przyjechał do Mattie w doskonałym nastroju, a skończyło się tym, że doprowadził ją do łez. W dodatku kiedy pojawił się ojciec dzieci, o mało się z nim nie pokłócił. Bezczelny typ.

Z drugiej strony...

Jake zamyślił się. Próbował spojrzeć obiektywnie na to, co się wydarzyło. Tom wszedł do mieszkania kobiety, która nosi jego dzieci; spodziewał się zastać ją w dobrym humorze, a zobaczył w ramionach innego mężczyzny wstrząsaną szlochem. Może trudno się dziwić jego reakcji? Cholera, gdyby Tom im nie przeszkodził, Mattie wkrótce by się uspokoiła; może zdołaliby porozmawiać, wyjaśnić sobie pewne sprawy? Niestety Tom wpadł niczym komandos, który próbuje zbawić świat.

Jake wcisnął guzik w pilocie. Słyszając znajome podwójne piknięcie, przypomniał sobie pytanie Mattie: dlaczego tu jesteś? Dlaczego się o mnie troszczysz?

Odpowiedział, że chce jej pomóc, ale to nie była cała prawda. Skoro jednak zareagowała takim szlochem, może lepiej, iż nie wyznał reszty: że jest najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznał. Gdyby usłyszała takie słowa, może oczekiwałaby dalszych wyznań: że ją kocha, pragnie poślubić i założyć rodzinę?

A przecież nie mógł czegoś takiego powiedzieć. To byłoby... zbyt ostateczne. Zbyt przerażające.

Po prostu jeśli chodzi o sprawy sercowe, Jake Devlin nie umiał snuć planów na przyszłość. Wolał żyć teraźniejszością, nie wybiegać myślą naprzód. Mattie by tego nie zrozumiała. Zatem może powinien być wdzięczny Tomowi, że wtargnął bez zapowiedzi?

Ostry dzwonek wyrwał go ze snu. Jake natychmiast pomyślał o Mattie. Czy coś się stało? Gorzej się poczuła? Próbując zwalczyć panikę, podniósł słuchawkę.

– Pan Devlin?

– Tak.

– Mówi siostra Hart z domu opieki Lilydale.

– Czy z Royem wszystko w porządku?

– Obawiam się, że nie. Miał zawał.

– Jak... – Jake'owi zaschło w gardle; przez moment nie był w stanie wydusić słowa. – Jak się czuje?

– Nie najlepiej. Karetka zabrała go do szpitala. Informacji udzielą panu na kardiologii.

– Dobrze, dziękuję.

Nie, nie zamierzał dzwonić. Pojedzie prosto do szpitala. Najważniejsze są pierwsze godziny po zawale. Musi zobaczyć się z Royem.

Wciąż było ciemno, kiedy pruł samochodem przez ulice miasta. Z całej siły ścisnął ręce na kierownicy. Serce waliło mu jak młotem. Kochał Roya; nie chciał, by staruszek umarł. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że Roy nie będzie żył wiecznie, ale należy mu się jeszcze kilka lat. Facet był legendą, a legendy powinny żyć długo.

Wjechał na wielopiętrowy parking, szybko znalazł puste miejsce. Potem ruszył labiryntem sterylnej czystych korytarzy na oddział kardiologii. Biegając, widział aparaturę z migoczącymi światełkami, srogą minę siostry oddziałowej, biel ścian. Cały czas towarzyszyły mu wyrzuty sumienia. Dlaczego nic więcej dla Roya nie zrobiłem, wyrzucał sobie w duchu. Boże, spraw, żeby nie było za późno!

Wczesnym popołudniem zadzwonił telefon Mattie. Serce zabiło jej mocniej, kiedy zobaczyła na ekranie numer Jake'a.

– Przepraszam, że dopiero teraz się odzywam. Miałem wyłączony telefon i zaledwie przed chwilą odczytałem twój esemes.

– Wybaczam ci – powiedziała, siląc się na beztroski ton. Nie bardzo jej to wyszło.

Brak jakiegokolwiek reakcji ze strony Jake'a obudził w niej przykre wspomnienia. Kiedy spotykała się z Pete'em, często dzwoniła do niego do Perth i zwykle trafiała na pocztę głosową. Miała uraz na punkcie mężczyzn, którzy nie odbierają komórki.

– Cały dzień spędziłem w szpitalu. Roy miał zawał.

– O Jezu... – Zawstydziała się własnych myśli. –I co? Jak on się czuje?

– Lekarze twierdzą, że się trzyma.

– To dobra wiadomość.

- Chyba tak. Niestety nie pozwolono mi się z nim zobaczyć.
- Nie denerwuj się – powiedziała. – Roy to twardziel.
- Wiem. A co u ciebie?
- Ja... – Przygryzła wargę; niepotrzebnie wysyłała Jake'owi esemesa! –

Też jestem w szpitalu.

- Co? – Zabrzmiało to niemal jak wystrzał z pistoletu.
- Nic złego się nie dzieje. To zwykły środek ostrożności.
- Dlaczego? Co się stało?
- Zaczęłam mieć skurcze i lekarz wystraszył się, że może dojść do przedwczesnego porodu. Skurcze ustały, ale zalecono mi leżenie. – Skrzywiła się. – Muszę pozostać tu, dopóki dzieci się nie urodzą.

– Rozumiem.

Był zmęczony. Zrobiło się jej go żal.

– Bliźniaki często rodzą się przed czasem – wyjaśniła. – Chcemy maksymalnie opóźnić ten moment.

– W którym jesteś szpitalu?

– Southmead.

– W tym samym co Roy. To duże ułatwienie. Na jakim oddziale?

– Zgadnij.– Uśmiechnęła się.

– Głupek ze mnie. Zdradź mi jeszcze numer pokoju...

– Dwadzieścia dwa zero trzy. Jake, nie oczekuję odwiedzin; masz dość zmartwień z Royem.

Na drugim końcu linii usłyszała głośnie westchnienie.

– Nie masz nic do gadania, Mattie. Zaraz u ciebie będę.

W pokoju 2203 nie było nikogo. Jake popatrzył na puste łóżko, pogniecioną pościel, na wgłębienie w poduszce, gdzie niedawno spoczywała głowa Mattie. Obok poduszki zobaczył otwartą książkę, a na stoliku filiżankę

po herbacie. Wiedział, że nie pomylił pokoju, bo na drugim stoliku pod oknem stały dwie doniczki: w jednej rósł krzew z różowymi pąkami, w drugiej niebieskie irysy.

Wszystko wyglądało normalnie, a jednak ogarnął go niepokój. Rozmawiał z Mattie dziesięć minut temu. Co w tak krótkim czasie mogło się wydarzyć?

Wszedł głębiej do pokoju i zastukał do drzwi łazienki. Nie słysząc odpowiedzi, ostrożnie je uchylił. Tam też Mattie nie było. Zdenerwowany wybiegł na korytarz i skierował się do dyżurki pielęgniarek.

– W czym mogę panu pomóc? – spytała młoda kobieta.

– Mattie Carey – rzekł zdyszany. – Dokąd... Gdzie...

Oczy pielęgniarki zalśniły, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Pan to pewnie Jake?

– Tak. Czy zostawiła dla mnie wiadomość?

Kobieta skinęła głową.

– Mam panu przekazać, że zabrano ją na usg.

– Dlaczego? Coś się stało?

– Lekarz tak zalecił.

Jake jęknął cicho.

– Proszę się nie martwić, to standardowe badanie – rzekła pielęgniarka.

– Nie potrwa długo.

– Rozumiem. – Zacisnął powieki i wziął głęboki oddech. – Dziękuję. –

Wziął kolejny oddech. – Co pani mi radzi? Kiedy mam wrócić? Za godzinę?

– Tak będzie najlepiej.

Zmęczona badaniem leżała na boku, z zamkniętymi oczami. Badanie nie było zbyt uciążliwe, ale w ostatnim czasie wszystko ją męczyło.

Od pielęgniarki dowiedziała się o wizycie Jake'a. Biedny Jake. Ma za sobą ciężki dzień.

Usiłowała zmienić pozycję na wygodniejszą. Od tygodnia nic się jej nie chciało. I było jej strasznie niewygodnie. Miała już dość własnej gnuśności, tego, że źle jej w każdej pozycji i że dzieci tak energicznie wymachują nóżkami. A dziś, po jednym dniu w szpitalu, miała też dość pielęgniarek i lekarzy, którzy stale się wokół niej krzątali. Niedobrze robiło się jej na myśl, że aż do porodu ma leżeć w tym małym białym pokoju.

Chryste, ale się zrobiła marudna. Zupełnie jakby zamieniła się z Jakiem. W pierwszych dniach ich znajomości to on grymasił, a teraz był do rany przyłóż. Dobry dla Roya, dobry dla niej.

Wczoraj usiłowała go o to spytać. Ale zadała jedno pytanie i wybuchnęła płaczem. Bez oporów poszła z Jakiem do łóżka, ale gdy miała zacząć rozmowę na temat ich relacji, stawała się kłębkim nerwów. Pewnie to wina Pete'a, który nie lubił rozmawiać o przyszłości.

Zapadała w sen, kiedy nagle usłyszała ciche pukanie do drzwi. Nie otworzyła oczu. Przegapiła wizytę Jake'a, miała jednak nadzieję, że przyśni się jej, jak ją całuje. Tyle czasu minęło od ich ostatniego pocałunku. Chciała odtworzyć go w pamięci, przypomnieć sobie usta Jake'a, ich dotyk, smak. Może jeśli będzie udawać, że śpi, intruz odejdzie. Tak wiele osób zakłócało dzisiaj jej spokój: mierzyli ciśnienie, robili zastrzyki, podawali witaminy, przynosili lunch, herbatę, niedługo przyniosą kolację.

Nie była głodna.

– Mattie...

Rozpoznawszy głos Jake'a, otworzyła oczy. Stał w drzwiach i przyglądał się jej z ciepłym uśmiechem.

– Nie chciałem cię budzić – rzekł, wchodząc do pokoju.

– Nie spałam. – Włosy opadały jej na twarz; odgarnęła je za ucho. –
Cieszę się, że przyszedłeś. Usiądź.

Przysnął krzesło bliżej łóżka. Przyjemniej było w domu, kiedy mogli
siedzieć koło siebie na kanapie, ale Mattie nie narzekała.

– Byłem tu wcześniej, kiedy robiono ci usg. Wszystko w porządku?

– Tak, dzieci mają się świetnie.

– Za to ty sprawiasz wrażenie zmęczonej.

– Tak to jest pod koniec ciąży.

Obserwował ją uważnie.

– Miałeś paskudny dzień. Przykro mi z powodu Roya.

– Na szczęście przeżyje. Lekarze zaproponowali angioplastykę; chodzi o
poszerzenie zwężonych tętnic.

– Co Roy na to?

– Zgodził się. Jeszcze nie chce żegnać się z życiem.

– To dobrze.

Przez chwilę Jake milczał.

– Pewnie powinienem się cieszyć, że jesteś tutaj, i mogę was oboje mieć
na oku.

– Nie musisz, Jake. Mam doskonałą opiekę medyczną.

– Ale...

– Codziennie rodzą się tysiące dzieci.

– Wiem. – Uśmiechnął się, lecz dostrzegła w jego oczach błysk strachu.

Jake odwrócił spojrzenie i wskazał na kwiaty. – Przywiozłaś je z sobą.

– Pewnie. To moje talizmany. Tylko nie mam konewki.

– Za to masz dobrą rękę do roślin.

Pochyliwszy się, ujął jej dłonie. Mattie poczuła, jak opuszcza ją
zmęczenie. Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odzywało; po prostu

siedzieli uśmiechnięci, trzymając się za ręce. Ogarnął ją spokój i cudowna błogość, jakby odnalazła swoje miejsce na ziemi. Potem czar prysł. Wróciła do rzeczywistości.

– Co z Brutusem i Pavarottim? – zapytał Jake. – Ktoś się nimi zajmuje?

– Nie, wszystko wydarzyło się tak nagle. Dobrze, że mi przypomniałeś.

Dlatego próbowałam się z tobą skontaktować.

– Mogę do nich zaglądać raz czy dwa razy dziennie. Zabierać Brutusa na spacer...

– Zamieszkać z nimi. – Dlaczego od razu nie wpadła na ten pomysł? – Mieszkanie stoi puste... – Z szuflady szafki nocnej wyciągnęła klucze. – Willowi to nie będzie przeszkadzało, a ty będziesz miał bliżej do szpitala. Do Roya.

– I do ciebie.

– No właśnie. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Jak ci smakuje szpitalne jedzenie? – spytał, chowając klucze do kieszeni.

– Nie wiem. Niewiele jadłam. Nie mam apetytu.

– A nie powinnaś jeść za troje?

– Powinnam.

Zmarszczył z namysłem brwi.

– Hm, a może zjesz ze mną jutro kolację?

Otworzyła szeroko oczy.

– Z tobą? Zapomniałeś, że nie wolno mi się stąd ruszać aż do rozwiązania?

– Znam doskonałą restaurację specjalizującą się w pysznych daniach na wynos. Wszystko zamówię, odbiorę, a potem zrobimy sobie ucztę.

Mattie przygryzła wargę. Tylko nie becz! – przykazała sobie. Jake czekał na odpowiedź.

– To co? Jesteśmy umówieni?

Co za pytanie! Czy nijakie szpitalne jedzenie może się równać kolacji z Jakiem?

– Tak – szepnęła. – Dziękuję.

– Super. – Wstał i delikatnie pogładził ją po policzku. – A teraz sobie pośpij. Zobaczymy się jutro.

Pośpij? Była zbyt podniecona, żeby zmrużyć oko.

Jake poszedł z Brutusem na spacer ścieżką wzdłuż zatoki. Oddychając głęboko świeżym słonawym powietrzem, usiłował się odprężyć. Nie było to łatwe, kiedy rozgrywały się tak dramatyczne rzeczy.

Dziś rano Roy niemal otarł się o śmierć, lada dzień Mattie może urodzić dzieci. W obie sprawy był zaangażowany uczuciowo. Nieźle jak na faceta, którego oskarżano o to, że żyje w emocjonalnej próżni.

Jakby tego było mało, zaprosił Mattie na kolację, a to znaczy, że umawia się z ciężarną, która nie z nim zaszła w ciążę. Oj, skomplikowało mu się życie.

Wpatrywał się w zanurzające się w wodzie słońce, które wyglądało jak wielka złocista kałuża. Nad głową latały skrzeczące mewy. Nieduże fale uderzały o przybrzeżne skały. Wciągnął w płuca powietrze.

Rozchmurz się, stary! Nie jest przecież najgorzej. Lekarze zapewnili go, że Roy przeżyje. Wprawdzie starzec miał twarz tak bladą, że kolorem zlewała się z pościelą, i przy życiu podtrzymywały go różne kroplówki, rurki i maszyny, ale znajdował się w dobrych rękach.

Mattie też nic strasznego nie dolega. Po prostu musi być optymistą, wierzyć, że wszystko się dobrze zakończy. Innego wyboru nie miał.

Kolacja udała się znakomicie. Najpierw „podano” przyrządzonego na ostro kurczaka w winie, potem rozpływający się w ustach tort czekoladowo-truflowy; do picia była woda gazowana w kieliszkach do szampana.

Mattie nie pamiętała, aby jakikolwiek posiłek sprawił jej większą radość. Jeszcze większą przyjemność sprawił jej Jake, kiedy przysunął się i ją pocałował.

Zupełnie się tego nie spodziewała. W jednej minucie siedział na brzegu łóżka, śmiejąc się z jakiegoś dowcipu, w następnej pochylił się i szepcząc jej imię, musnął wargami jej policzek.

– Czy mogę cię pocałować? Chyba nie ma żadnych przeciwwskazań? Obiecuję być bardzo delikatny.

W pierwszej chwili była zbyt zaskoczona, aby cokolwiek powiedzieć.

– Mattie?

Błysnęła zębami w uśmiechu.

– Delikatny pocałunek? Myślę, że lekarz by pozwolił.

Zadrzała. Obsypywał jej twarz lekkimi pocałunkami, powoli zbliżając się do ust. Zamknęła oczy. Czującym gestem ujął w dłonie jej twarz.

Uwielbiała smak jego ust, ich zapach i słodką tajemnicę. Nieśmiało przeciągnęła rękami po ramionach Jake'a; pod koszulą czuła twarde mięśnie. Potem opuszkami palców zaczęła gładzić go po karku.

– Mattie – szepnął, niemal nie odrywając warg od jej ust. Była pewna, że umrze ze szczęścia.

Nie umarła. Objęła go ramionami za szyję i pławiła się w szczęściu.

– O co chodzi, Jake? Minę masz jakąś nietęgą.

Jake uśmiechnął się do Roya. Akurat rozmyślał o rodzicach. Był na nich wściekły, bo znów nie mogli zostawić swoich spraw, by przylecieć na dzień

lub dwa do Sydney i odwiedzić w szpitalu człowieka, który przez trzydzieści lat zarządzał ich farmą.

– Mną się nie przejmuj, staruszk! Po prostu staraj się jak najszybciej wyzdrowieć.

Roy machnął lekceważąco ręką.

– Zdrowiałbym znacznie szybciej, gdybyś w końcu zadbał o swoje sprawy miłosne.

Jake'owi opadła szczęka.

– O moje... O czym ty mówisz?

Roy wzruszył ramionami.

– Od dawna chciałem z tobą o tym pogadać.

– Odkąd to jesteś specem od spraw sercowych?

– W ogóle nie jestem. Ale ciebie znam, Jake. Wiem, co cię w kobietach kręci i co przeraża.

– Przeraża? – spytał Jake; coś w nim pękło, ale starał się niczego nie okazywać. – Wiesz, z iloma się spotykałem?

– Nie, ale na pewno było ich za wiele.

– Nie ma czegoś takiego jak za wiele kobiet – oznajmił instynktownie Jake; wierzył w to od najmłodszych lat, teraz jednak zabrzmiało to fałszywie.

Odkąd poznał Mattie, z nikim się nie umawiał, nawet nie myślał o jakiegokolwiek innej kobiecie i właśnie to było przerażające dla kogoś, kto uważał się za zatwardziałego kawalera. Roy obserwował go przez zmrużone powieki.

– Co tak patrzysz? – zdenerwował się Jake.

– Myślę o tych miesiącach po narodzinach twojego brata.

Powietrze stało się naelektryzowane. Jake z trudem oddychał. Roy poklepał go po ręce.

– Kiedy to dziecko umarło, matka odsunęła się od ciebie. Wycofała się ze świata, zamknęła w sobie na pół roku. Nie wiem, jak to teraz nazywają, pewnie depresją, ale w tamtych czasach, zwłaszcza na australijskim pustkowiu, twoja mama znikąd nie miała pomocy. Ojciec potwornie się o nią martwił, ale żadne nie zdawało sobie sprawy, jaki to wszystko ma wpływ na ciebie.

– Za dużo mówisz, Roy. Powinieneś odpoczywać.

– Może, ale muszę to powiedzieć. Bo widzisz, ja wiem, jak to było, zanim twój braciszek umarł. Uwielbiałeś swoją mamę, Jake. Łączyła was wspinała więź.

Jake przełknął ślinę, próbując pozbyć się bolesnego ucisku w gardle.

– A potem, ilekroć na mnie patrzyła, łzy napływały jej do oczu.

– Widziałem, jak wkładasz pancerz. Niczym mały biedny żołnierz, który chowa się przed bólem.

Jake milczał; nie był w stanie wydobyć głosu. Przez wiele lat blokował te wspomnienia, krył je głęboko w sobie, a teraz Roy jednym szarpnięciem sprawił, że wypłynęły na powierzchnię.

– Później – ciągnął starzec – kiedy matka zaczęła dochodzić do siebie, wysłali cię do męskiej szkoły z internatem. Odkąd skończyłeś dziesięć lat, twój świat składał się niemal wyłącznie z mężczyzn. Nadal tak jest; wyjechałeś do Mongolii, a tam kobiet nie uświadczysz. Wiem, wiem, umawiasz się na randki, ale do żadnej kobiety tak naprawdę nigdy się nie zbliżyłeś. Po prostu unikasz zranienia.

– Jeśli chcesz wiedzieć, pół dzisiejszego dnia spędziłem na położniczym – oznajmił Jake.

– Wystraszony jak wszyscy diabli.

Jake miał wrażenie, jakby żelazna obręcz zaciskała się wokół jego żeber. Gardło go piekło, z trudem oddychał. Zacisnął pięści, usiłując nad sobą zapanować.

– Ona zasługuje na kogoś lepszego – rzekł cicho. Nie musiał tłumaczyć, jaka ona. Roy wiedział.

– Mylisz się, chłopcze. Jesteś idealnym partnerem dla Mattie.

– Tak sądzisz? Naprawdę w to wierzysz? – spytał Jake, pragnąc usłyszeć odpowiedź twierdzącą.

– Ja to wiem. Ona jest idealną partnerką dla ciebie, dlatego tak się boisz.

Jake siedział nieruchomo przy łóżku starca, wpatrując się w żyły na jego rękach.

– Uważaj, chłopcze, bo zostaniesz takim samym dziwakiem jak ja.

– Ty, Roy, nigdy nie chciałeś się ożenić, prawda?

– Chciałem! A jakże!

– To dlaczego nigdy nie stanąłeś przed ołtarzem?

– Nie umiałem zdobyć się na odwagę.

– Nie żartuj! – Jake nie wierzył, że jego bohater mógłby bać się czegokolwiek.

– Odwaga to dziwna rzecz – odparł cicho starzec. – Bez cienia strachu stawałem twarzą w twarz z bykiem, ale nie potrafiłem ofiarować serca kobiecie. –Przez moment przyglądał się uważnie swojemu młodemu przyjacielowi. – Jeśli ktoś za długo trzyma serce pod kluczem, to boi się wystawić je na widok publiczny.

Czując, jak krew dudni mu w skroniach, Jake pomyślał o Mattie.

– Ona jest dobrym człowiekiem, Roy.

– A ty nie? – Starzec pokręcił z niedowierzaniem głową. – Kto mnie odwiedza? Kto się mną opiekuje?

– To dlatego, że... – Jake urwał. Po chwili spróbował jeszcze raz. – Że ty zawsze przy mnie byłeś. W każdej sytuacji mogłem na ciebie liczyć.

– Na Mattie też możesz liczyć. Daj jej szansę, a na pewno nie pożałujesz.

TTLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– „Dziecko potrzebuje czekolady”? – Mattie ze zdziwieniem przeczytała napis na ostatnim z serii prezentów od Jake'a.

– To są specjalne batony dla ciężarnych – oznajmił z dumą Jake. – Kobieta w „Będę mamą” zapewniła mnie, że mają mnóstwo cennych składników.

Mattie roześmiała się wesoło.

– Kobieta w „Będę mamą” to twoja nowa najlepsza przyjaciółka?

– Raczej to ja jestem jej nowym najlepszym klientem.

– A ja jestem szczęściarą. – Mattie uniosła pokrywkę pudełka. – Mmm, pachną bosko. Dziękuję, Jake.

Wprost nie mogła uwierzyć, jaki to był cudowny tydzień. Od czasu ich pierwszej kolacji w szpitalu Jake odwiedzał ją codziennie, czasem nawet wpadał dwukrotnie, przed wizytą u Roya i po, i zwykle przynosił różne prezenty niespodzianki ze sklepu dla ciężarnych, który odkrył w jednej z podmiejskich dzielnic.

Cudowne prezenty: drogie kremy do ciała, pamiętnik w ślicznej atlasowej okładce, żeby miała gdzie zapisywać wspomnienia.

– Jesteś pisarką. Pomyślałem, że całe to niezwykle doświadczenie możesz ubrać w słowa – powiedział.

Piękny, wzruszający pomysł, uznała Mattie: prowadzić pamiętnik, który dzieci przeczytają w przyszłości.

Jake przynosił również kuszące rzeczy do jedzenia, a także sentymentalne filmy, które mogła oglądać na laptopie.

– Wiem, że wolisz kino akcji – rzekł z tak przejętą miną, że Mattie miała ochotę go pocałować – ale zważywszy na twój obecny stan, uznałem, że lepsze będzie coś spokojniejszego.

Oczywiście nie przyznała, że od dreszczowców zdecydowanie bardziej woli słodkie łzawe filmy o miłości, ale podejrzewała, że Jake sam to odgadł. Oglądała je ze ściśniętym gardłem. Sama w pokoju, przy zamkniętych drzwiach, mogła bez skrepowania zalewać się łzami, śledząc miłosne perypetie bohaterów.

Nigdy nie sądziła, że ktoś tak przystojny i fascynujący jak Jake może jednocześnie być tak dobrym troskliwym człowiekiem. I że ona z brzuchem wielkości księżyca w pełni może czuć się przy nim atrakcyjna. W dodatku ilekroć Jake ją całował, zawsze dostawał w bok kolanem lub łokciem. Ale to go chyba bawiło.

Jeśli nadal miał zastrzeżenia do jej roli jako zastępczej matki, nic o tym nie mówił.

Dziś zjawił się w znakomitym humorze, uśmiechnięty, odprężony. Usiadł w fotelu, zdjął buty, nogi oparł o brzeg materaca. Mattie zdarła opakowanie z batonika dla ciężarnych i wbiła zęby w słodką czekoladową masę.

– Mmm, pycha! – Podsunęła smakołyk Jake'owi. – Spróbuj.

Rozmawiali o operacji, której Roy zostanie poddany, i o opiece, jakiej będzie później wymagał. Mattie opowiedziała Jake'owi o swoim ostatnim usg, na którym było widać, że dzieci ułożyły się w mało dogodnej pozycji. Lekarz planował wykonać cesarskie cięcie w przyszłym tygodniu. Może wcześniej. Słyszając to, Jake zbladł i zeszywniał.

– Nie boisz się cesarki? – spytał.

– Nie mogę się doczekać.

– Serio? – Uśmiechnął się niemrawo.

– Zaletą jest to, że nie trzeba męczyć się z rodzeniem.

Wydawał się zdenerwowany zbliżającym się porodem. Ale tacy są mężczyźni. Wspomnił, że jego matka miała jakieś komplikacje przy porodzie, więc to też pewnie odgrywało jakąś rolę. Ku swemu zaskoczeniu Mattie nie czuła strachu. Od początku wiedziała, że wszystko pójdzie dobrze.

– Zapewniono mnie, że po cesarskim cięciu zostaje mała, prawie niewidoczna blizna – odparła, chcąc choć trochę uspokoić Jake'a.

Pokiwał głową, ale nadal nie wyglądał na szczęśliwego. W ciszy, jaka zapadła, Mattie szukała jakiegoś bezpiecznego tematu, Jake zaś siedział nachmurzony, miętosząc w palcach skrawek prześcieradła.

Nagle, nie patrząc na nią, spytał:

– Myślałaś o tym, co będziesz czuła, kiedy już urodzisz? Kiedy oddasz dzieci Ginie i Tomowi?

Mattie zakrztusiła się kawałkiem batonika.

– O niczym innym nie myślę – przyznała. – Próbuję sobie wyobrazić moment, kiedy Gina z Tomem po raz pierwszy biorą maleństwa w ramiona. Chyba z tysiąc razy widziałam, jak płaczą ze szczęścia.

– Ale ty, Mattie? Zastanawiałaś się, co ty będziesz czuła?

– Będę się cieszyć razem z nimi.

Wzdychając głośno, Jake oparł głowę o fotel i utkwiał wzrok w suficie.

– Pytam, co będziesz czuć, kiedy Gina z Tomem zabiorą dzieci i odejdą; kiedy będą tulić je do snu, przewijać je, kąpać, a ty będziesz leżała w szpitalu, dochodząc do siebie po operacji?

Z wielkim obwisłym brzuchem i pełnymi mleka obolałymi piersiami, dodała w myślach Mattie. Miała wrażenie, jakby cały baton utknął jej w gardle. Przełknęła ślinę raz i drugi, ale nieprzyjemny ucisk w gardle pozostał.

– Nie wiem, to nieistotne. Skupiam się na tym, żeby dzieci rozwijały się zdrowo i bezpiecznie przyszły na świat.

Powiódł po niej wzrokiem.

– I nie zastanawiasz się nad sobą?

– Nie.

Nagle uświadomiła sobie, że zna odpowiedź. Będzie czuła się porzucona, niepotrzebna, pusta niczym kokon, z którego wyfrunął motyl. Zapewne będzie potrzebowała pary silnych ramion, w których w chwili słabości mogłaby się schronić. Ale nie pierwszych lepszych ramion.

Czy powinna mówić o tym Jake'owi?

W ciągu ostatniego tygodnia bardzo się do siebie zbliżyli. Rozmawiali o swoich rodzinach, o szkole, najlepszych przyjaciółkach, o rzeczach, które budzą ich sprzeciw, o ulubionych daniach. Grali w scrabble'a, tryktraka, pokera. Całowali się...

Lecz ani razu nie rozmawiali o przyszłości, o tym, w jakim kierunku zmierza ich związek. W pewnym sensie pytanie Jake'a właśnie tego dotyczyło. Wyłynęli na głęboką wodę, tyle że Jake oddał ster w jej ręce. Nie potrafiła wyczytać nic z jego oczu, kiedy czekał na odpowiedź. Gdyby miała ciut więcej odwagi! Wciąż nie mogła zapomnieć o tym, jak Pete wił się, ilekroć usiłowała porozmawiać o tym, co będzie za rok. Czasem, kiedy dopadała ją chandra, zastanawiała się, czy nie oświadczył się jej tylko po to, by przestała zawracać mu głowę.

Jeżeli teraz będzie zbyt nachalna, Jake może się wystraszyć. Nie chciała go zniechęcić.

Przez chwilę masowała miejsce na brzuchu, gdzie wystawała malutka pięta.

– Zaczę wszystko od nowa – rzekła, usiłując nadać głosowi pogodne brzmienie. – Życie toczy się dalej. Trzeba wstać, otrzepać się...

– Tak jak po śmierci babci?

– Uhm.

Zmarszczył czoło.

– To nie był jedyny raz, prawda? Zaczynałaś też od nowa po tym, jak rozpadł się twój związek?

– To widać? – spytała zaskoczona.

Uśmiechnął się smutno.

– Musi istnieć powód, dlaczego połowa mężczyzn w Sydney nie dobija się do drzwi tak ślicznej, wielkodusznej dziewczyny jak ty.

Ślicznej, wielkodusznej... Zakreśliło się jej w głowie. Dopiero po chwili ocknęła się z zadumy.

– Zmarnowałam trzy lata na faceta, który twierdził, że pragnie mnie poślubić, a potem, dosłownie w ostatniej chwili, zmienił zdanie.

Mars na czole Jake'a pogłębił się.

– To musiało być straszne.

– Było. Musiałam odwołać wesele, sprzedać suknię, znosić współczujące spojrzenia wszystkich wokół.

Wstrzymała oddech, czekając na reakcję Jake'a. W takiej sytuacji, na filmach, które oglądała, bohater zawsze bierze bohaterkę w ramiona, mówi jej, że kocha ją do szaleństwa i nigdy jej nie zawiedzie.

No dobrze, Jake nie musiałby wyznawać jej miłości, ale mógłby wytłumaczyć, dlaczego poświęca jej tak dużo czasu. On jednak milczał. Sprawiał wrażenie spiętego, jakby rozmowa dotyczyła zbyt intymnych kwestii.

Mattie zrobiło się przykro. Sądziła, że wreszcie się dowie, dlaczego cieszący się powodzeniem facet godzinami przesiaduje na oddziale położniczym z kobietą, która wcale nie jest matką jego dziecka.

Uzbroiła się w cierpliwość, ale wszystko na nic. Jake milczał uparcie, w dodatku unikał kontaktu wzrokowego. Westchnęła i postanowiła spróbować jeszcze raz.

– A ty, Jake? Co poczujesz, kiedy przekażę dzieci Ginie i Tomowi?

– Ulgę. – Uniósł się wolno z fotela i pochylił, aby ją pocałować. Jego ciepły oddech połaskotał ją w ucho.

– Ucieszysz się, kiedy będzie po wszystkim?

Odgarnął jej włosy z twarzy.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. – Pocałował ją, po czym wyszedł, by odwiedzić Roya.

Marzy, aby jak najszybciej stąd wyjść, przemknęło Mattie przez myśl, kiedy odprowadzała go wzrokiem do drzwi. I zrozumiała, dlaczego na romantycznych filmach zwykle zalewa się łzami. Bo w prawdziwym świecie wspaniali mężczyźni nie porywali jej w objęcia i nie obiecywali dozgonnej miłości. W prawdziwym świecie mężczyźni udawali, że ją kochają, a potem odchodzili.

Do innych kobiet.

W pokoju panował mrok, kiedy Mattie wstała, aby – tak jak to robiła kilka razy każdej nocy – udać się do toalety. Zaspana zerknęła na budzik przy łóżku; lśniąca zielona cyfra pokazywała za kwadrans piątą. Kiedy szukała po ciemku klamki, jedno z bliźniąt wymierzyło mocnego kopniaka w jej pęcherz. Skrzywiwszy się, otworzyła drzwi. Poczwała pod nogami chłodne kafelki. I nagle ni stąd, ni zowąd, odeszły jej wody.

Z przerażeniem wbiła wzrok w kałużę na podłodze. Czyżby straciła kontrolę nad pęcherzem?

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, co się stało. Przeważenie ustąpiło miejsca radosnemu podnieceniu.

Niebo powoli jaśniało. Jake znajdował się w przyjemnym stanie między jawą a snem, kiedy zabręczała jego komórka. Nie podnosząc głowy, wyciągnął rękę i w stosie rzeczy leżących koło łóżka wymacał telefon.

– Słucham?

– Jake?

Poderwał się na łóżku.

– Mattie?

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam? – Jej głos brzmiał inaczej, jakby była wystraszona albo przejęta.

– Co się dzieje?

– Dziś rano będzie poród.

Miał wrażenie, jakby tuż obok wybuchł granat, rozrywając worek, w którym on skrywał wszystkie swoje strachy i najgorsze wspomnienia.

– Nie za wcześnie? – spytał, usiłując zwalczyć panikę.

– Trochę, ale odeszły mi wody, więc nie bardzo możemy dłużej czekać. Nie ma się jednak czym denerwować. Bliźnięta zwykle rodzą się przed czasem.

Zdumiało go, że Mattie rozmawia z nim tak rzeczowo, bez cienia lęku w głosie. Podejrzewał, że nawet się uśmiecha. Wydawała się podekscytowana niczym wspinacz, który doszedł na szczyt Everestu.

– Skąd dzwonicz? – Skup się na sprawach praktycznych, powtarzał w duchu; o niczym innym nie myśl.

– Jestem w swoim pokoju.

- Zaraz u ciebie będę.
- Nie wiem, kiedy mnie stąd zabiorą.
- Nie szkodzi, znajdę cię.

Koniecznienie musiał przy niej być; może wtedy nic złego się nie wydarzy.

- Jake?
- Tak?

– Ja... – zawahała się. – Przyjedź.

– Już jadę, o nic się nie martw. – Rozłączywszy się, czym prędzej wyciągnął ze stosu koszulę i spodnie.

Droga do szpitala była koszmarem. Zaczął się poranny szczyt, na każdym skrzyżowaniu zapalało się czerwone światło, pieszcy przechodzili na pasach w żółwym tempie. Jake, mokry ze strachu, z całej siły zaciskał dłonie na kierownicy. Jeżeli cokolwiek stanie się Mattie...

Musi być przy niej. Tak wiele jej zawdzięcza. To dzięki niej się zmienił. Dopóki jej nie spotkał, skupiał się wyłącznie na pieniądzach i zabawie. Główną zaletą pracy w Mongolii była ogromna pensja, która systematycznie powiększała jego konto w banku.

Nikt nie był bardziej zaskoczony zmianą, jaka w nim zaszła w ostatnim czasie, niż on sam. A wszystko to zasługa Mattie. Ona wydobywa z ludzi ich najlepsze cechy. Jednakże mimo rady Roya wciąż nie potrafił się przełamać, powiedzieć Mattie, co do niej czuje. A nuż przegapił swoją szansę?

Mattie usłyszała na korytarzu stukot łóżka, którym miano przewieźć ją do sali operacyjnej. Wzięła głęboki oddech. Jej rola wkrótce się zakończy, a Gina z Tomem zostaną rodzicami.

A tam, na zewnątrz, przez ulice Sydney, jedzie Jake. Przypomniała sobie rano, kiedy odwoziła go na lotnisko oraz smutne pożegnanie, kiedy zrozumiała, że nie będą razem. Czy mogła wtedy przypuszczać, że Jake znów

przyleci do Sydney, że będzie ją codziennie odwiedzał i czekał za drzwiami, kiedy ona będzie rodziła?

Chyba ją pokochał?

Och, jaka była głupia, że w niego wątpiła. Że czekała, aby wyznał jej miłość. A przecież wiedziała, że czyny znaczą więcej od słów.

Dzięki Bogu, w porę to sobie uzmysłowiła.

Leżała uśmiechnięta, kiedy dwaj sanitariusze weszli do pokoju, pchając przed sobą łóżko.

Jake zostawił samochód na parkingu i biegnąc w stronę oddziału położnictwa, usiłował ponownie połączyć się z Mattie. Drżącą ręką wybrał jej numer. Po kilku dzwonekach odezwała się poczta głosowa.

Jazda windą trwała w nieskończoność. Kiedy drzwi rozsunęły się, Jake ruszył ile sił w nogach do pokoju Mattie. Łóżko było puste.

Dyszząc ciężko, oparł się o drzwi.

Dokąd ją zawieźli? Po chwili pognął do punktu pielęgniarek. Tego ranka dyżur pełniła najsympatyczniejsza z nich, Beth.

– Gdzie Mattie?

– W sali operacyjnej – odparła z uśmiechem.

– To znaczy gdzie? Muszę się z nią zobaczyć.

Beth pokręciła głową.

– Przykro mi, Jake. Nie sądzę, aby pan...

– Ale ja muszę! Proszę mi powiedzieć, dokąd ją zabrano!

Przyglądała mu się z namysłem, jakby zastanawiała się, czy może złamać regulamin szpitalny.

– Kocham Mattie, ale ona o tym nie wie; nie mówiłem jej. Niech mi siostra pomoże.

Oczy Beth zaiskrzyły się.

– Dobrze. – Chwyciła Jake'a za łokieć. – Tylko trzeba się pospieszyć.

Tędy!

Towarzyszyła mu biegiem przez całą drogę.

– Jeśli chce pan wejść do środka, musi pan włożyć fartuch – poleciła, wpychając go za drzwi.

– Do środka?

Obróciła się do niego twarzą.

– Chce pan być z Mattie czy nie?

– Gdzie? W sali operacyjnej? – Wzdrygnął się. – Ja...

Omal się nie załamał. Jeżeli wejdzie, zobaczy wszystko: chirurga tnącego brzuch Mattie, wyjmowane z macicy niemowlęta...

Poczuł, jak dławi go strach. Przed oczami mignęła mu zimna, malutka twarz martwego brata. Wiedział jednak, że nie może się teraz wycofać. Nie wytrzymałby czekania w samotności na korytarzu. I nie chciał zostawiać Mattie samej. Kiedy rozmawiali, nie wydawała się przerażona, ale to nie ma znaczenia; powinien być z nią do końca.

Z trudem przełykając ślinę, skinął głową.

– Tak, chcę być z Mattie – odparł. – Co mam zrobić?

– Pośpieszyć się! – zawołała Beth, wciskając mu do ręki zielony fartuch.

W blasku ostrych reflektorów Mattie czuła się samotna i wylękniona. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi w białych fartuchach; byli wśród nich położnicy, pediatrzy, położne, anestezjolog, lecz nie było ani jednej przyjaznej twarzy, ani jednej bliskiej osoby, którą chciałaby teraz mieć przy sobie. Jake pewnie utknął w korku. Gina z Tomem wyruszyli z Willowbank, ale nie mają szansy dotrzeć w porę. Pewnie mniej by się denerwowała, gdyby wcześniej dano jej coś na uspokojenie. Teraz było za późno; wszystko działo się w ekspresowym tempie.

Anestezjolog poprosił, aby przewrócono pacjentkę na bok; szykował się, aby wbić igłę w jej kręgosłup.

– Proszę jeszcze chwilę poczekać – szepnęła Mattie, ale lekarz jej nie słuchał.

Potał jej plecy czymś zimnym, następnie wbił igłę. Mattie wyobraziła sobie, jak środek znieczulający przenika do jej ciała, wpływa do serca, żył i tętnic. Wkrótce straci czucie w dolnej części ciała.

– Co teraz? – spytała, wszyscy jednak byli zbyt zajęci, aby udzielić jej odpowiedzi.

Chyba o niej nie zapomnieli? Ludzie, błagam! Niech ktoś na mnie spojrzy, uśmiechnie się! Jestem tu!

Okryto ją zielonym materiałem, zostawiając odsłonięty brzuch. Lada moment lekarz dokona cięcia. Chciała zaprotestować: to za bardzo przypomina operację, nie poród. Nagle usłyszała, jak otwierają się drzwi.

– Dzięki Bogu! – zawołał znajomy głos. – Zdążyliśmy.

Mattie obróciła głowę; zobaczyła siostrę Beth i Jake'a. Wyglądał znajomo, a zarazem – z powodu fartucha i czepka na włosach – dziwnie oraz obco.

– Kto to? – Doktor Smith, położnik, zmierzył nieproszonych gości taksującym spojrzeniem.

Jake postąpił krok do przodu.

– Nie wyjdę stąd. Muszę być z Mattie.

– To jej chłopak – wyjaśniła Beth, po czym szybko poprawiła się: – Partner.

Kilka osób popatrzyło na niego z rozbawieniem. Położnik bez słowa skinął głową i ponownie skupił się na brzuchu Mattie. Z oczu Jake'a biła

miłość. Mattie usiłowała coś powiedzieć, ale przepelniona emocjami nie była w stanie wydobyć głosu.

Pochyliwszy się nad nią, Jake ścisnął jej dłoń.

– Cześć, słoneczko. Uśmiechnij się do mnie.

Uśmiechnęła się i w tej samej chwili poczuła, jak za zieloną zasłonką lekarz przecina jej skórę. Zanim zdążył ogarnąć ją strach, Jake przycisnął usta do jej czoła.

Przez moment miała wrażenie, że ktoś rozciąga jej powłoki brzuszne i nagle rozległ się triumfalny krzyk:

– Jest chłopczyk!

Ręce w rękawicach uniosły dziecko wysoko w powietrze. Na widok maleństwa, jego lśniącej skóry, rączek, nóżek, wykrzywionej twarzyczki i rudych włosów na czubku głowy, Mattie się rozpromieniła.

– O jej, jaki śliczny! Wykapany Tom!

Usłyszała nad uchem cichy śmiech i poczuła, jak

Jake ściska mocniej jej dłoń. Po chwili z brzucha wyjęto drugie niemowlę; dziewczynkę zabrano, zanim Mattie mogła ją zobaczyć.

– Co z nią? Co się stało?

– Nie martw się, nic jej nie będzie – powiedziała uspokajająco Beth. – Trzeba ją podłączyć do aparatu wspomagającego oddychanie.

– Nie oddycha? – W głosie Jake'a też pobrzmiwał strach.

– Zaraz zacznie. Od początku zachodziła obawa, że mniejsze z bliźniąt będzie potrzebowało pomocy. Dlatego doktor Smith nalegał na cesarkę.

– Na pewno nic złego się nie dzieje?

– Na pewno. – Beth poklepała Mattie po ramieniu. – Jak chcesz, pójdę sprawdzić i zaraz do ciebie wrócę.

Było już po wszystkim. Brzuch Mattie zszyto, a ją samą zapewniono, że drugie z bliźniąt dobrze się czuje, choć dla pewności musi pozostać w inkubatorze przez dwadzieścia cztery godziny. W sali pooperacyjnej czuwał nad Mattie pielęgniarz, który co kilka sekund mierzył jej ciśnienie. Odpowiadając na jego pytania, Mattie sprawiała wrażenie radosnej.

Natomiast Jake czuł się oszołomiony, tak jak kiedyś, gdy spadł z konia i nagle wszystko widział do góry nogami. Po prostu nie mieściło mu się w głowie, że był świadkiem narodzin dwóch malutkich istot ludzkich. Dzieci przeżyły. Mattie przeżyła. Jego lęki okazały się bezpodstawne.

Powinien być w euforii, a on był spięty. Noworodki zabrano, może właśnie w tej chwili poznawały swoich rodziców. Czy teraz, gdy dzieci są na świecie, on, Jake, będzie jej potrzebny? Na razie prowadziła ożywioną rozmowę z pielęgniarzem, który wypytywał o wszystkie szczegóły ciąży. Uśmiechała się wesoło, gestykulowała, podczas gdy Jake patrzył z narastającą wrogością na jej rozmówcę. Pragnął zostać z Mattie sam, tak wiele miał jej do powiedzenia. Może jednak – zamiast czuć się jak piąte koło u wozu – powinien wyjść na kawę albo odwiedzić Roya? Postąpił krok w stronę łóżka.

– Mattie...

Urwała rozmowę w połowie zdania. Oczy jej lśniły.

– Cześć, Jake – powiedziała, jakby nagle przypomniała sobie o jego obecności.

– Pójdę już.

– Już?– Zaczerwieniła się i zmartwiona wyciągnęła do niego rękę. – Nawet ci jeszcze nie podziękowałam.

– Za co?

– Za to, że przyjechałeś. Że byłeś przy mnie. – Łzy napłynęły jej do oczu, wargi zadrżały. – Zachowałeś się wspaniale. Nie tylko dziś. A ja popełniłam tyle błędów.

Błędów? O jakich błędach ona mówi? Pielęgniarz odchrząknął. Mattie posłała mu chłodne spojrzenie.

– Ben, czy mógłby pan na chwilę zostawić nas samych?

– Polecono mi panią monitorować.

– Wiem, ale to ważne. Tylko na chwilkę...

Pielęgniarz skinął głową.

– Będę za drzwiami.

– Dziękuję.

Kiedy Ben wyszedł, Mattie ujęła rękę Jake'a. Policzki miała zaczerwienione, oczy jej lśniły, drżała.

– Co ci jest? – zaniepokoił się Jake. – Zawołać z powrotem Bena?

– Nie, wszystko w porządku. Po prostu boję się.

– O dzieci? Mówili, że dziewczynce nic nie będzie.

– Wiem. – Potrząsnęła głową. – Chcę cię przeprosić.

– O czym mówisz?

Zamknawszy oczy, wzięła głęboki oddech.

– Nie chciałam się zbliżyć do żadnego mężczyzny.

– Rozumiem.

– Muszę ci wyjaśnić, dlaczego przestałam odpisywać na twoje mejle.

Bałam się, że za bardzo się zaangażuję, a potem znów dostanę po łapach. No i nie chciałam ci mówić o ciąży... Nic dziwnego, że przeżyłeś szok. Mimo to byłeś dla mnie taki dobry i... – Łzy zawisły jej na rzęsach. – Przepraszam.

Jake roześmiał się; miał ochotę tańczyć z radości.

– To ja przepraszam. Wstydzę się tego, jak zareagowałem na wiadomość, że urodzisz dziecko swoim przyjaciołom, ale ciąża wywołuje we mnie strach.

– Z powodu komplikacji porodowych twojej mamy?

Uświadomił sobie, że wreszcie może normalnie rozmawiać o przeszłości.

– Mój brat urodził się martwy. Miałem dziewięć lat. Widziałem go. Trzymałem w ramionach.

– Och, Jake. – Mattie pogładziła go po policzku. – Wyobrażam sobie, jak ciężko musiało ci dzisiaj być ze mną w sali operacyjnej.

– Za to teraz nie posiadam się ze szczęścia. – Uśmiechnął się. – Podarowałaś swoim przyjaciołom najwspanialszy prezent. Jesteś niesamowitą osobą, Mattie.

Popatrzyła mu z powagą w oczy.

– Inną niż ta, którą poznałeś.

– A ja jestem innym mężczyzną niż dawny Jake. – Przycisnął jej dłoń do ust. – Tak wiele się od ciebie nauczyłem.

Przez chwilę milczała, potem uniosła kąciki ust.

– Kocham cię, Mattie.

Obdarzyła go uśmiechem. Pięknym, ciepłym i promiennym.

Za ich plecami rozległo się chrząknięcie.

– Nie chcę wam przeszkadzać – rzekł Ben – ale... Jake obejrzał się przez ramię.

– Stary, błagam, daj nam jeszcze dwie minuty.

– Tylko zmierzę Mattie ciśnienie.

– A nie możesz zmierzyć po tym, jak się jej oświadczę?

Pielęgniarz odsłonił w uśmiechu zęby.

– Dobra, pośpieszcie się. – Wycofał się z pokoju. Jake pochylił się nad Mattie. Była taka piękna.

– Kocham cię, Mattie – powtórzył, pochylając się nad jej uchem. – Wyjdź za mnie. Przysięgam, że nigdy cię nie opuszczę. Nigdy nie zawiodę.

Byli z powrotem w pokoju Mattie, kiedy Gina i Tom weszli z naręczem kwiatów, oboje nieziemsko szczęśliwi.

– Mattie! – Gina uściskała przyjaciółkę. – Dziękuję, kochana. Dzieci są cudowne. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

Przez kilka minut panował rozgardiasz; wszyscy mówili naraz. Niedługo później przejęci rodzice pobiegli z powrotem na oddział noworodków.

Mattie utkwiała spojrzenie w Jake'u. Włosy miał potargane, koszulę pomiętą, policzki ocienione zarostem. Wyglądał tak jak pierwszego dnia, kiedy go zobaczyła. Ogarnęła ją tęsknota.

– Zapomniałam! – Do pokoju znów wpadła Gina. – To dla ciebie! Jako dodatkowe podziękowanie. – Wcisnęła przyjaciółce do ręki białą kopertę i mrugnawszy porozumiewawczo, znikła za drzwiami.

Mattie pokręciła głową.

– Już tak wiele mi dali...

– Ty im znacznie więcej.

Otworzyła kopertę. W środku znalazła kartkę z podziękowaniem i podłużny kartonik.

– Ojej. To kupon na wakacje.

Jake rozciągnął usta w uśmiechu.

– Świetnie. Przyda ci się wypoczynek.

– Dla dwóch osób, Jake. Pokój i posiłki w hotelu na wyspie Daydream.

– Bomba!

Mattie wyobraziła sobie pobyt na tropikalnej wyspie ze swoim własnym piratem. Nagle zmarszczyła czoło.

– Ale skąd Gina z Tomem wiedzą o tobie? O nas?

– Pewnie od Willa.

– A skąd on...

Jake przysiadł na brzegu łóżka.

– Kiedy lekarz cię zszywał, wymknąłem się na korytarz i zadzwoniłem do paru osób. Do Roya, który prosił, żeby cię uściskać, i do Willa powiedzieć mu, że urodziłaś...

– Ale nie mówiłeś mu o nas, prawda? Bo przecież wtedy jeszcze...

Twarz Jake'a przybrała kolor dojrzałego pomidora.

– Zapytałem... – urwał. – Powiedziałem mu, że jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, to za kilka miesięcy będę go potrzebował.

– Do czego?

– Żeby był moim drużbą. A on pewnie zadzwonił do Giny i Toma.

Gniewasz się?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Will będzie idealnym drużbą.

– Jesteś zmęczona? – spytał Jake.

Była i zmęczona, i trochę obolała – znieczulenie przestawało działać – ale tak szczęśliwa, że na drobne niedogodności nie zwracała uwagi.

– Zostaniesz? – Poklepała brzeg łóżka. Uśmiechając się leniwie, Jake zsunął buty i wyciągnął się obok na materacu.

– Zamknij oczy – szepnął, obejmując ją w pasie.

Posłuchała go.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też, słoneczko.

Mattie westchnęła błogo i zasnęła uśmiechnięta.

EPILOG

„Witajcie w Willowbank” głosił napis na tablicy stojącej wśród niebieskich i białych lilii afrykańskich przed wjazdem do miasteczka.

– Dojechaliliśmy – oznajmiła Mattie. – Jak widzisz, nie jest to tętniąca życiem metropolia.

Środkiem ulicy biegł pas zieleni porośnięty wierzbnami. Po obu stronach, wzdłuż chodnika, stały drewniane domy, w których mieściły się tradycyjne sklepy, nowoczesne butik i kawiarnie.

– Mnie się podoba – stwierdził Jake. – Serio – dodał, widząc spojrzenie Mattie. – Ładne miasteczko na australijskiej prowincji.

– O, moja szkoła! – zawołała Mattie, kiedy mijali budynek z boiskiem pełnym rozbieganych dzieci.

Wybierali się do Giny i Toma na lunch. Wieczorem mieli omówić z rodzicami Mattie przygotowania do ślubu.

– Zwolnij – poprosił Jake, kiedy opuściwszy centrum, przejeżdżali obok domów z ogródkami.

Na widok wetkniętej w trawnik tablicy „Na sprzedaż” Mattie poczuła dławienie w gardle.

– Królestwo McLaughlinów – wyjaśniła. – Słyszałam, że chcą się przenieść do Gold Coast.

– Byłaś kiedykolwiek w środku?

– Dawno temu. To piękny stary dom z wielkim ogrodem, który ciągnie się aż do rzeki.

– Jest idealny – oznajmił Jake, jakby już podjął decyzję.

– Chciałbyś w nim zamieszkać?

– Kto wie? – Wyciągnąwszy rękę, obrysował palcem ucho Mattie. –

Może przyjedziemy jutro go obejrzyć?

– Mówisz serio? Mógłbyś przenieść się do Willowbank?

– Czemu nie?

– Sądysz, że znalazłbyś tu pracę?

– Nie dalibyśmy rady wyżyć z twoich tantiem?

– Na bułkę z masłem by starczyło.

Uśmiechnął się.

– O pracę się nie martwię. W razie czego założę firmę.

Z radości Mattie pocałowała go w policzek. Być blisko przyjaciół i rodziny, mieszkać w domu, który zawsze wzbudzał jej zachwyt... Nagle coś sobie przypomniała.

– O rany!

– Co się stało?

– Za domem, prawie nad samą rzeczką, stoi drugi dom. Mniejszy. Mieszkał w nim dziadek pana McLaughlina. Pamiętam, jak siadywał na ganku i spoglądał na wodę.

Popatrzyli na siebie.

– Roy – powiedzieli jednym głosem, po czym uradowani rzucili się sobie w ramiona.

– Nie przeszkadzałoby ci, gdyby z nami zamieszkał?

– Byłoby cudownie – odparła Mattie.

– Boże, jak ja cię kocham!

Pocałował ją w usta. Pocałunek trwałby znacznie dłużej, gdyby Mattie nie uwolniła się z objęć Jake'a.

– Musimy jechać, bo się spóźnimy.

Kiedy z wijącej się między sosnami drogi skręcili w podjazd przed domem Giny i Toma, Tom zszedł po schodach, trzymając na rękach rudowłose niemowlę. Uściskał gości i jeszcze raz pogratulował im zaręczyn.

Mattie popatrzyła czule na małego Jaspera; wprost nie mogła uwierzyć, że tyle czasu nosiła chłopczyka w swoim brzuchu.

– Jak dzieci, Tom?

– Jasper to prawdziwy rozrabiaka. – W głosie Toma wyczuwało się ojcowską dumę. – Postanowił uczestniczyć w imprezie.

– A Mia?

– Mia to aniołek. Śpi.

Jake wyjął z bagażnika kosz różnych frykasów, jakie kupili z Mattie w Sydney, i razem weszli do dużego domu. Z kuchni dobiegały wspaniałe zapachy.

Mattie ucałowała Ginę, po czym skinęła na Jake'a.

– Poznaj Lucy. – Otoczyła ramieniem drobną blondynkę. – Lucy, która jest najlepszym weterynarzem w Willowbank, będzie jedną z moich druhen.

– Miło mi. – Lucy podała Jake'owi rękę. – Niezły facet... – Mrugnęła do Mattie.

– Brakuje nam tylko Willa – powiedziała Gina.

– Przyjedzie na ślub. Będzie drużbą Jake'a.

Lucy wciągnęła z sykiem powietrze, a po chwili zrobiła się czerwona.

– Nie myślałam, że Will... że... – Urwała.

Mattie wiedziała, że Lucy i Will razem chodzili do szkoły i razem studiowali. Często zastanawiała się, czy nic więcej ich nie łączy. Oboje twierdzili, że nie.

Sądząc jednak po reakcji Lucy, nie była tego taka pewna.

- To już tylko trzy miesiące – powiedziała Lucy, udając, że nic się nie stało. – Musimy wszystko zaplanować!
- Super! – zawołała Gina. – Uwielbiam śluby i wesela!
- Mattie będzie piękną panną młodą.
- Jake też jest niczego sobie.
- Słuchajcie, w lodówce chłodzi się szampan. Wypijmy ich zdrowie. Korek głośno wystrzelił. Przyjaciele stuknęli się kieliszkami.
- Za Mattie i Jake'a!
- Niech żyją długo i szczęśliwie!